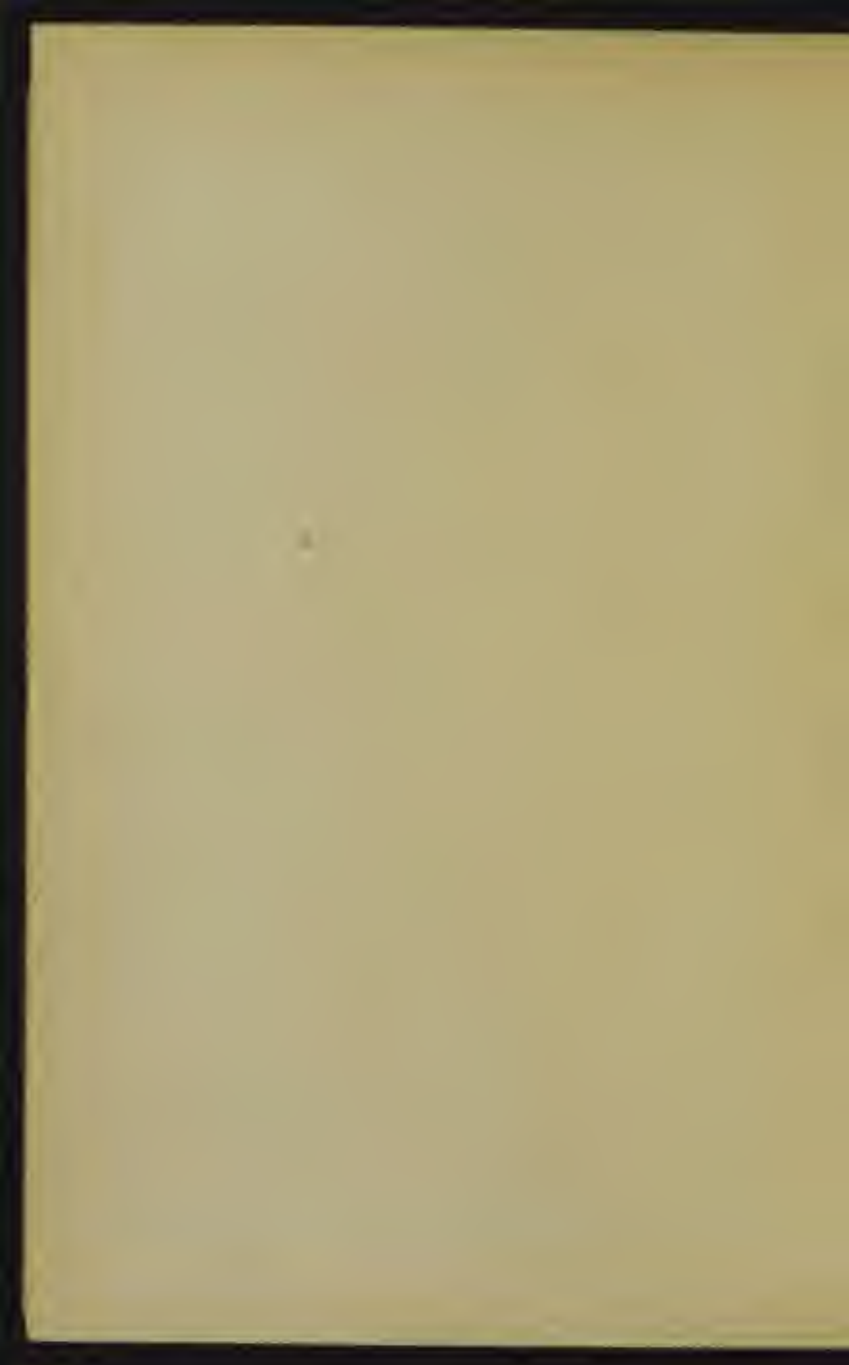




J E L I T A.



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

XIII.

---

J E L I T A.

LEGENDA HERBOWA

z r. 1331.

T O M I.

---

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie

Gebethner i Wolff.

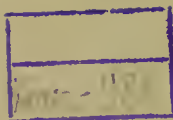
Michał Glücksberg.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1881.



---

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki

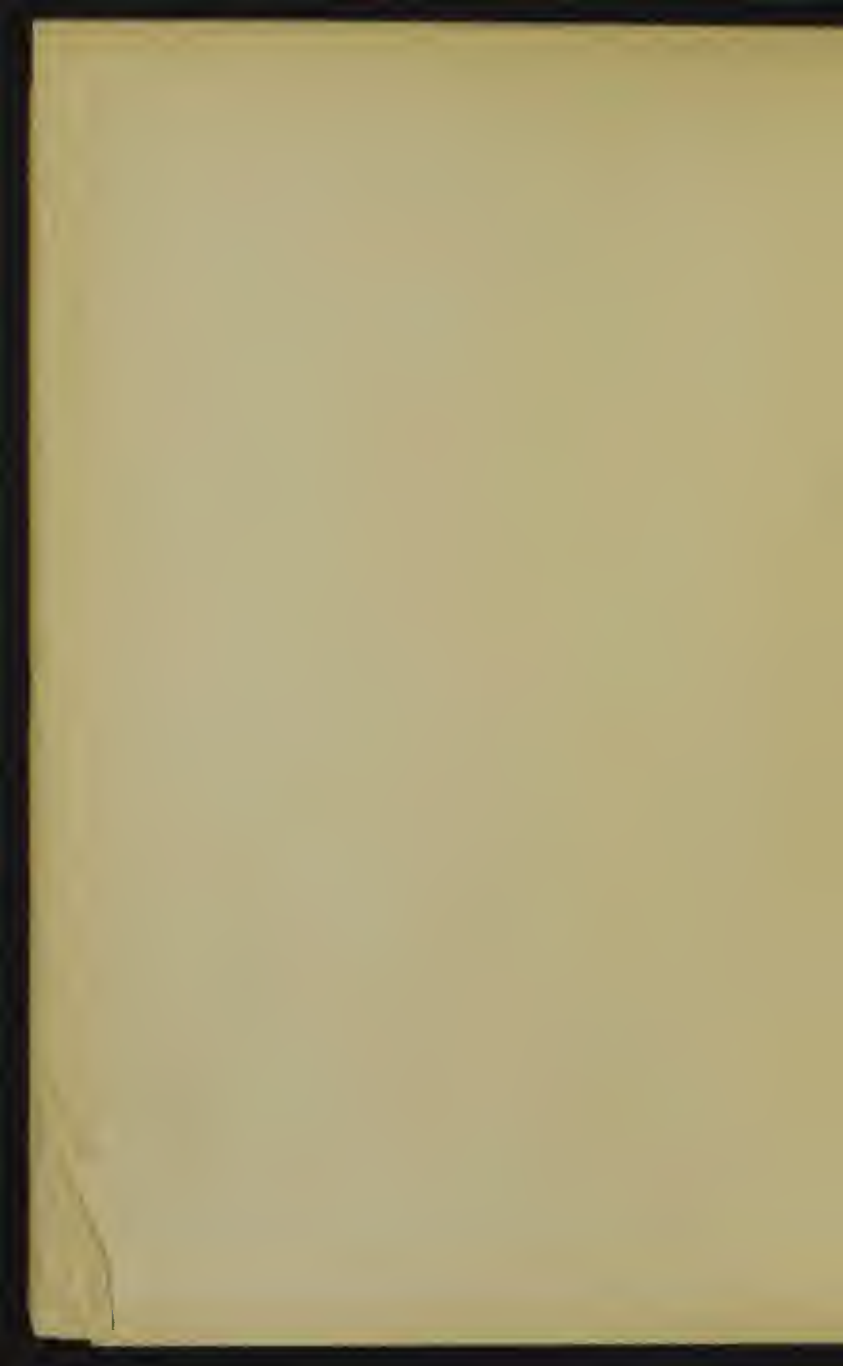
1876 2 26

PANU GRACJANOWI  
U N G R O W I

*wdzięczny*

*Autor.*

Drezno 1 Stycznia 1881.





## I.

Pora była jesienna, jeszcze letniem ciepłem ogrzana; na polach stały tam tylko nie pozwożone do brogów i stodół kopy, gdzie duchowieństwo dziesięciny z nich swojej nie oddzieliło; mało który zagon pochylonem od wiatru i deszczów zbożem był okryty. Na skoszonych łąkach pasło się bydło swobodnie, na ścierniach rozproszone czerniały owce. Wśród żółtych pól, pasami zorane na przyszłą siejbę widać było role czarne, nad którymi ulatywało ptactwo szukające w świeżej ziemi robaczego żeru.

Na niebiesiech jeszcze jesień nie rozwiesiła była szarych opon deszczowych, porozrywane tylko obłoki przesunwały się po bladym błękitie, złotemi i pomarańczowemi branowane pasami słonecznych promieni. Wiejska cisza otulała osadę wielką, zdalą lasami otoczoną.

Siedziała ona tu zakryta od napaści nieprzyjaciela, który tak często kraj niszczył i pustoszył, bo nigdzie koło niej zgłiszcz widać nie było, a chaty czas miały postarzeć w spokoju.

W pośrodku na wzgórzu, opasany wałem porostym zielenią, a obwarowanym częstokołem, rozsiadał się dwór duży drewniany z dachem wysokim. Brama wyższa jeszcze od niego wjazd wskazywała. Stała ona teraz otworem.

W podwórzu dosyć pustem, wśród którego studnia z żórawiem i korytami najwidniejszą była—rozłożyły się wozy jakieś, od których konie odpręgano, jezdni zsiadali, gwarno było i czeladzi dużo, wybiegłszy z szop kręciło się pospiesznie około dworu.

Włodarz miejscowy w długiej oponczy podpasanej rzemieniem, w czarnych skórzniach, z twarzą ogorzałą, z długimi włosy spadającymi na ramiona, czapkę wysoką w rękę trzymając, w drugim kij biały, zdawał się zajęty i zakłopotany ugaszczaniem przyjezdnych.

Spadli tu widać niespodziewani, bo wszystko się koło nich kręciło potraciwszy głowy...

Dwór pański, który w podwórzu się rozglądał, wcale był wspaniały i zuamionował dostatniego człeka... Kilkudziesięciu zbrojnych w nieładzie oręż, na koniach dobrych i strojnych, wozów kilka, odzież czeladzi barwna, postawy dworu i żołnierza dumne a rzezkie, mogły bodaj

udzielnego książątka w podróży kazać się domyślać...

Gospodarowało tu owo rycerstwo jakby w domu. Jeden, starszy widać nad orężnemi, do włodarza nakazująco przemawiał, a ten czapki nie nakładając, zafrasowany czeladź popędzał.

Trzeba było pomieścić ludzi i konie, na wypadek słoty kędyś pod dach zaciągnąć wozy, choć one skórami ponakrywane były, w ostatku garść tę znużoną i zgłodniałą, karmić i poić.

Włodarza też głos ochrypły, a krzykliwy co chwila nawoływał parobków, a ci biegali to i owo chwytając postraszeni. Jeden pochwycił już był żuraw i stanąwszy na zrębie studni co rychlęj wodę w koryta naléwał, bo konie spragnione do suchych się cisnęły; drugi siano z szopy ciągnął. Rycerstwo nakrzykiwało i klęło... Ten sam ruch widać było przy dworze, którego drzwi wszystkie otworem stały, i okna były odsunięte.

Lecz tu oprócz czeladzi, przybyłych gości nie widać było.

W sieniach dwu zbrojnych spoczywało na ławie, żelazne hełmy pozdejmowawszy z głowy; siedzieli znużeni nic nie mówiąc do siebie.

W izbie sąsiedniej, której drzwi nie zamknięte były tylko przywarte, dawał się słyszeć krok ciężki mężczyzny, który zwolna, dziwnie się jakoś poruszał. Po tym chodzie znać było jakby go droga odbyta nie uspokoiła i nie znużyła.

Zbrojni co słuchali pode drzwiami spoglądali czasem na siebie, jakby się pytali — co on robi...

W istocie ktoś tam się poruszał jakby bez myśli a pod władzą uczucia co nim miotało.

Szedł to żywo bardzo i jakby pędził za czemś, to stawał nieporuszony, to włókł się nogi za sobą ciężkie pociągając... Ruchom tym towarzyszył to szczełk oręża, który musiał mieć na sobie, to dychanie piersi zmordowanej...

Czasami przysiadł ciężko na ławę... słychać było uginające się pod nim suche drzewo, to wstawał pospiesznie i biegał po izbicy, zbliżając się ku drzwiom samym i oddalając w drugi koniec... zkad głucho stapania dochodziły.

Oreżna straż ile razy się przysunął ku drzwiom, zdawała się gotować do powstania, a gdy się nie doczekała pana, opadała znużona, swobodniej oddychając...

Tymczasem w podwórzu orszak pański zabierał się na nocny spoczynek, bo wieczór nadchodził.

W chacie stojącej niedaleko dworu baby już roznieciły były ognisko wielkie, widne przez drzwi roztwarte, któremi dym wilgotnych, nagle podpalonych polan wychodził kłębami.

W drugiej obok, gdzie łaźnia była, także parobcy co rychlój nakładali drzewo, aby dla podróżnych choć późno kąpiel była gotowa.

Zwolna słońce blade spuszczało się po za chmurami przeświecając ku zachodowi. Od wsi dochodził teraz gwar i beczenia a ryk trzód, które z pastwisk powracały... Zdala u stawu kołatał młyn. Stada kaczek sznurami i gromadami przeciągały na błota...

Z izby po której się przechadzał przybyły, pan czy gość, niekiedy przez okno odsunięte, otwarte pokazywała się głowa...

Ile razy ona wyszła z tych ram, na ciemnym tle głębi izby, ci co w podwórzu stali a ujrzeli ją... jakby po nich mrowie przechodziło, prostowali się, milkli, stawali pokorni i gotowi na skinienie.

Była to głowa, która na lada ramionach siedzieć nie mogła, ni do lada kogo należeć.

Pańskie oblicze, groźne, straszne, piękne razem i trwogę wrażające. Dwoje oczów siwych ale bladym wejrzeniem zimnym przeszywających, nos orli, czoło wysokie, usta ściśnięte, policzki blade zorane już brózdami trosk i lat... Do koła włos bujny siwiejący...

Z ust dziwnie złożonych, niby do uśmiechu i kąsania razem, duma, pycha, panowania siła i żądza dyszeć się zdawały...

Gdy wargi te zadrgały a oczy im szarym blaskiem swym szklannym zawtórowały—najmężniejszy poczuł trwogę, którą czeladź na widok tego bladego oblicza przejmowała...

Głowa ta wysuwała się nagle, jak popchnięta czemś ze środka, ale nie spoglądała na ludzi co się nią czuli zagrożeni — patrzała gdzieś w dal, jakby wyczekiwała i nasłuchiwała...

Chwilę tak malowała się na czarnem tle, z dwójgiem rąk silnych spartych na zrębie okna, i ginęła w mroku...

Naówczas straż siedząca na ławie w sieni słyszała znowu chód niecierpliwy, chrzęst i stękanie...

Zmierzchać zaczynało, gdy zdala ziemia zadrgała jakby od kopyt końskich...

Zbrojni ludzie u studni pozwracali oczy ku gościńcowi, i głowa w oknie błysnęła... Stanęła, nie chowając się długo do głębi. Rękę przyłożył nasłuchujący do ucha, czekał...

Słychać było klusem nadjeżdżających, których za drzewy i budowlami widać jeszcze nie było.

Zbliżali się. Rozeznawali już w podwórzu nie tentent pędzonego stada, co się płosząc rozpędza, ale mierzone kroki gromadki ludzi, których konie nawykły iść razem. Szczekało jakby żelazo... Chód był ciężki...

Głowa w oknie poruszała się żywo, wychyliła więcéj jeszcze... Z za opłotków ukazały się żelazne hełmy spiczaste... i dzid kilka... Patrzący znikł odbiegłszy stanowiska.

Kilkanaście koni zmierzało ku wrotom otwartym.

Przodem jechał w pięknej zbroi, czarnowłosy, silnie zbudowany mąż, na koniu ciężkim i spocynym. Żelazem był okryty na pół choć w podróży, obyczajem tych co go nigdy nie zwykli byli zrzucać, aby ramion nie oduczać od rycerskiego brzemienia. Za nim tuż pachole tarcz wiozło i miecz, a dalej zbrojni, wąsaci, zarosli, chłop w chłopa ludzie dobrani a rośli, różnie pouzbrajani pędzili na koniach postrojonych jak kogo stało, w rzemienne i mosiężne rzędziki.

Na tarczy, którą pachole wiozło, i na hełmie u tego co przodem jechał, widać było znamię zawołania, chustę białą, zwiniętą ze spuszczonego końcami.

Po znaku tym ludzie w podwórzcu musieli się domyślać kogoś, bo między sobą żwawo szeptać zaczęli, rozstępując się i drogę wolną czyniąc przyjezdnym.

Jadący na przedzie zobaczywszy orszak u studni, trochę żywiej podjechał pod dwór, i osadzwszy konia, zsiadł z niego nie troszcząc się oń, bo już pacholę u cugli stało.

Sam krokiem pospiesznym wbiegł ledwie na straż w sieni spojrzawszy, która zobaczywszy go powstała — i drzwi do izby otworzył, gdzie w progu czekał nań wcześniej przybyły.

Ten, któregośmy siwą głowę tylko widzieli w oknie, stał teraz cały czekając na gościa, jeszcze z podróźnej zbroi nie rozdziawszy się —

przy mieczu, głowę tylko mając od hełmu wyswobodzoną, który na stole wśród izby rzucony świecił blaskiem jaki okno nań ciskało.

Spojrzeli sobie w oczy i przybyły rękę wyciągnął ku siwemu gospodarzowi.

Nie powiedzieli słowa do siebie, oczyma mierząc się tylko...

— Bóg płac — głuchym, stłumionym głosem, ozwał się wreszcie siwy mąż — Bóg płac żeście przybyli... Sroga potrzeba była rozmowy...

Postąpili kilka kroków ku przodkowi wielkiej a pustej izbicy. Czysta ona była, ale śnać dawno nie zamieszkiwana, bo w niej okrom niezbędnego sprzętu ław i stołu jakby wrosłego w podłogę, nie było nic.

Na stole hełm się świecił i dzban stał a kubek... Na ławie leżał płaszcz ciśnięty od niechcenia...

— Biegłem jakom mógł i co sił starczyło do Pomorza — począł teraz hełm zdejmując i czoło ocierając z potu przybyły. Poseł wasz mi napędził strachu, bo mi na łeb spieszyć kazał do was. Obawiałem się zastać tu co złego...

— I niceś tu dobrego nie zastał — odparł głosem drżącym siwy.

— Cóż? wojna? Krzyżacy znowu na karku... Nie nowina to — odezwał się gość. — Jeżeli ich nie mamy, zawsze się ich spodziewamy... Ro-



zejm pono wypowiedziany, więc już niszczą pewnie lub w Mazowszu albo gdzie na granicy...

— Krzyżacy! Krzyżacy! — z gorzkim uśmiechem żywiej coraz począł siwy. — Toć chleb powszedni — nie byłoby po co was wołać na nich...

Potał czoło i urwał, a po chwili silnie się w piersi bijąc krzyknął.

— Nie o to dziś idzie, ale o mnie i o wszystkich nas, i o tę ziemię Wielkopolską całą, która przepadnie...

— Jaktó! — odparł zdziwiony gość.

— Tak, jak mówię — unosząc się ciągnął dalej siwy... Nadeszła ta godzina że jój bronić potrzeba.

— Od kogo?? — zdumiony spytał stojąc gość.

Siwy, którego kilka słów wyrzeczonych już o jakieś roznamiętnienie przyprawiły, drżał nie mogąc czy nie śmiejąc powiedzieć co myślał.

— Rozgoście no się — rzekł hamując — pomówimy o tém, bo mówić o czém jest, na Boga miłego!!

Spocznijcie z drogi, siadajcie... ja, tóż ledwie z konia zsiadł, ale we mnie wre wszystko... jeszcze nawet tchnąć nie mógł.

— Straszycie mnie! — rzekł spokojnie miecz odpasując gość. Ani mogę odgadnąć o co idzie i co was tak zaniepokoiło...

— Chybabyś kamiennym był — zakrzyknął siwy — abys jak ja nie zakipiał, gdy ci rozpowiadać zacznę. Ale, gościem mi jesteście, synowcze miły, naprzód trzeba po podróży ciało pokrzepić.

Klasnął w ręce. Wszedł jeden z siedzących u drzwi.

— Jeść i pić niech dadzą co mają — zawołał — a nie opieszale!! Włodarza pędzić aby nas nie morzył głodem...

W dzbanie woda tylko...

Wyszedł zbrojny.

Gość się tymczasem ze zbroi powoli rozdziewał, i ręce wyciągał, a nogi prostował. Ciemne swe włosy rękami poprawił i na tył głowy zarzucił.

Twarz jego wyszła teraz w całym blasku.

Gdyby nie wieku różnica i nie to co on zawsze po sobie zostawia, gdyby nie życia zapisane ślady, twarz siwego do téj młodszéj byłaby wielce podobną. Rysy mieli też same, lecz wyraz ich był różny. Ciemnowłosy miał coś rycerskiego, butnego a lekceważącego w sobie, zwiastującego, że życie brał po prostu, szedł jawnie do celu, a mówił jak myślał... I gdyby zgrzeszył byłby grzech swój wyznał.

Starszy tę butę miał już przerobioną na dumę niezmierną, drażliwą, chorobliwie bolejącą, niespokojną...

W téj chwili była ona jak rana rozdarta — tknąć jej nie można było.

Wrzenie wewnętrzne zdradzało się poruszeniami i wzrokiem obłąkanym, a ostrym.

Nie rozpoczęli jeszcze rozmowy, gdy już czeladź żeńska i mężka, tak poprostu odziana, jak ją tu niespodziani goście zastali, wnosić poczęła jadło niewykwintne, mięsiwa pieczone, polewki, jaja, kaszę, a do nich piwo i miód.

Oba do wojaczki i myśliwstwa nawykli, niewybredni rzucili się na ten posiłek chciwie. Lecz starszy szybko zaspokoiwszy głód, rychło porzucił jedzenie, nóż swój otarł, ręce obmył i począł po izbie się przechadzać zasepiony. Dłużej u stołu pozostał gość, oczyma ścigając gospodarza i przekąsając powoli.

Stróż tymczasem w kominie ogień wieczorny naniecił, a gdy dojadł gość, zebrano misy i zostawiono tylko miód i kubki.

Starszy popijał coraz, lecz w taki sposób jakby sam nie wiedział co czynił. Zaprzątnięty był czém inném.

— Miły stryju — odezwał się, napróżno wy czekawszy by mówić począł, czarnowłosy — czekam na to, coście mi mieli rzec, i po co wezwany byłem tak pilno...

Siwy się namarszczywszy stanął i począł patrzeć nań.

— Obaśmy Świdwy — począł — tyś syn brata mojego, a dziś gdy jego na świecie nie ma, tyś drugicj gałęzi naszego rodu, zawołania Nałęczów, głową... Nie z Dobkiem chciałem mówić, a z Nałęczem i temi co z nim idą...

— Wiecie, — odparł Dobek spokojnie — że dotąd po Bożemu ród nasz zawsze, w złej i dobrej doli spójny był i jako snop związany... Nerozwiąże on się i teraz...

— Wszystkich bo nam sił trzeba, aby się nie dać pognębić — zawołał stary Świdwa.

Dobek słuchał jakby nie rozumiał.

— Ojczaszku, — rzekł łagodnie — bom ja od śmierci pana rodzica mojego tak was nawykł zwać — ojczaszku, cóż nam zagrażać może?

Dzięki Bogu, stanęliści z łaski pana a króla naszego tak wysoko, że całym krajem władacie. Wielkopolską rządzicie, panem jēj jesteście...

Stary zachnął się cały.

— Tak! tak! mówisz o tém co było — za krzyknął — a co nie jest!..

Tak, król mi oddał wielkorządy w Polsce, bo ja mu ten kraj dałem, jam mu go ocalił, jam wyrwał z rąk Szlązaków... Należało mi się to i — więcej... Gdyby nie ja, dawnoby stracił Poznań i Gniezno... Dał mi wielkorządy bo musiał i był powinien...

Zapalał się stary.

— Nie tylko mnie, — ciągnął dalej — ale dzieciom moim Wielkopolska należała — gdyby nie ja nie miałby jęć Łoktek dawno...

Na tom rachował, żem tu dla siebie pracował nie dla niego. Byłbym koronie jego hołdował, z nią trzymał, służył mu, ale w kraju tym, który już za swój uważałem, com robił to była moja sprawa... Jam tu panem powinien być pozostać... jak inni...

Tu stary połknął znać nazwisko pomorskich panków, które chciał wymówić.

Dobek słuchał coraz poważniej.

— Teraz, jeżeli ja nie opatrzę się w czas co czynić — mówił Świdwa — stracone wszystko... Jaki mi koniec gotuje ten chytry starzec... któż przewidzi. Jestem dla niego kamieniem na drodze, solą w oku...

Chciwy, pochłonałby wszystko, gdy tego co ma utrzymać mu trudno... Czeski król Jan, Krzyżacy, Mazury, wszystko przeciwko niemu... Zamiast bronić Krakowa, on sięga po Wielkopolskę...

Zaczął się śmiać szydersko.

— Ojczaszku — odparł z cicha Dobek — aleć bo to przecie jego dzielnica, przecie on koronowany król nasz...

— Tak! tak! koronowany! — śmiał się Świdwa. Korony ja mu z głowy nie zdejmuję, ale w Poznaniu ja — pan... Hołdu mu nie odma-

wiam, a wyrzucić się nie dam... Jużem zaraz podejrzewał złe zamiary gdy tu młodego Kaźmierz z żoną wysłał na mieszkanie do mnie...

Teraz mu już wielkorządy oddaje — a ja wojewodą mam pod nim być, więcej nie?..

Z zamkum się dla królewicza wynosić musiał precz... Rozumiesz ty to??

Patrzył na Dobka, który wcale nie okazywał wzruszenia.

— Ojczaszku — począł uspokajająco. Rozumiem ci ja, że tobie coś tu długie lata jakby udzielnym był książęciem, teraz pod rozkazy iść dwudziestoletniego młodzieniaszka może przykro, ale, miły panie, syn to królewski... ziemia królewska... Cóż począć!!

Stary Wincz Świdwa (tak go z Wincentego mianowano) cały się wstrząsnął.

— Tego nie zniosę, nie będzie to! — krzyknął — raczej niech wszystko przepada niżbym ja miał cierpieć upokorzenie...

Byłby może zapędził się dalej, w wyznaniach co chciał poczynąć, gdyby go wyraz twarzy Dobka, na którą spojrzał nie powstrzymał.

Dobek jego oburzenia nie dzielił, stał zimny.

— Gotujcie się na moje rozkazy, do kupy pod moją chorągiew — odezwał się Wincz po małym namyśle. Tom wam chciał rzec... Nie opuście mnie przecie samego...

Nałęczę i ich powinowaci pójdą za mną. Po-

*winowactwo* nie co innego znaczy tylko *powinność* rodowi... Za Nałęczami oprócz ich nieprzyjaciół plemiennych, muszą wszyscy... Będzie tego więcej niż pół Wielkopolski...

— Na Boga, ojezaszku — przerwał podchodząc Dobek — uspokójcie się ino... Ślijcie albo jedźcie do króla, ale mu tak zaraz nie rzucajcie rękawicy... Możni my tu jesteśmy, ani słowa, macie przyjaciół, ale i na nieprzyjaciółach nam nie zbywa... Łoktek stary jest... przyciśnięty... prawda — ale król to i pan nasz...

Węgry za nim stoją, Papież się nim opiekuje...

Pan to nasz, namaszczoney...

Wstrząsł się Wincz stary i huknął.

— Milcz-że. Wiem ja to wszystko... On król, a jam wielkorządca, nie synaczek jego... Niech go sobie posadzi gdzieindziej, ma zamków dosyć— ja go w Poznaniu, gdzie pierwszym był, nie ścierpię. Drugim tu nie mogę być! nie będę!

Odwrócił się i począł chodzić żywo. Buchał z niego gniew. Dobek patrzył, stał, milczał.

— Ojezaszku, na Boga! namyślcie się, podumajcie — rzekł w ostatku — widząc że stary zżyma się i rzuca ciągle. — Królowi wojnę wypowiedzieć, nie mała rzecz... Łatwiej pono się na to rzucić, niż podolać temu. Sroga to sprawa! Boże uchowaj!

— Ani tak straszna, ani taka ona trudna jak

ci się widzi — krzyknął Wincz. — Niewiesz jaką siłę mam... Niech ja tylko Łoktka odstąpię, a szala się przeważy... Pójdzie chyba znów na skargę do Papieża, ale już nie do Rzymu, a do Awenionu... ale mu posiłków Ojciec święty nie da... a będzie kląć?! Jużci my do tych piorunów nawykli. Nauczyli nas Krzyżacy że można pod klątwą żyć i nie się nie stanie człowiekowi.

Dobek ręce załamał. Stary Wincz mówił coraz goręcej.

— Ma króla Jana Czeskiego przeciwko sobie, który się też polskim królem zowie, a jego krakowskim królem tylko zwa; ma Brandeburgów, ma Szlązaków przeciwko sobie, ma moc krzyżacką, a ta nie mała jest — niech ja stanę po ich stronie — wygnamy go!!

Oczy mu się zaiskrzyły okrutnie. Dobek milczał namarszczony.

— Cóż ty na to? co? — nalegał zapalony starzec.

— Milczę — rzekł powolnie Dobek. — Wyście ojczaszku mocno zażaleni, a żal pomiarkowania nie zna... Trzeba ochłonać.

— Nie! trzeba drugich rozpalić! — zawołał Wincz. — Ja? nie ochłonę! Jam zestarzał na wielkorządach, posiwiał, a miałbym na starość karku ugiąć przed młokosem? Nigdy!!

— Sroga rzecz! sroga! — zamruczał Dobek — rozmysłu trzeba. Jeżeli się wam niesprawiedliwość



stała, do królowy iść, wprost, a otwarcie mu skarżyć...

Wincz się rozśmiał.

— Tak to znasz Łoktka? — krzyknął. — On gdy co postanowi raz, żelaznym klinem mu tego nie wybić z głowy... Mały jest, stary... lat siedemdziesiąt mu, ale kamienny... Syn ten, to jego ukochanie... to jego przyszłość cała... dla niego mnie poświęcił. Targować się z nim, wodę warzyć daremno... Chciał nieprzyjaciela, będzie go miał we mnie.

Ja sobie kraju tego wydrzeć nie dam!

To mówiąc uderzył nogą w podłogę, aż na stole kubki zadrgały.

Dobek przyszedł powoli doń i chciał go w ramie całować, aby uspokoić, odepchnął go stary i rzucił się na ławę.

— Dla was ja i dla całego rodu pracowałem — począł głosem przerywanym. — Z tej ziemi chciałem dziedzictwo zrobić dla plemienia mojego... Także samo z Pomorzem się stało... z wielkorządców porośli władcy... Ale ja bym się był nie odrywał od korony i tak jój hołdował jak Szlązacy czeskiemu królowi. Byłbym wiernym pozostał...

W samo serce mnie ugodził niewdzięczny Łoktek... I zwiódł mnie. Powiedział że Kaźmirza z młodą żoną nie ma kędy posadzić — i tylko mu na zamku mieszkanie dać niby chciał, a łowy

w lasach. Co mi to szkodziło? nie sprzeciwiałem się. Aliści najechali, zamek ich pełen... polaków, litwy, służby, czeladzi, ciurów, bab... już dla wielkorządzczy kąta niema... Dalej Kaźmirz sobie rządy przywłaszcza i on tu już rozkazuje, a ja stary pod nim — wojewodą!!! Na równi mnie z kasztelanem Jędrkiem stawia! mnie! Wincza Świdwę z Pomorzan i Szamotuł! Mnie!..

To mówiąc wstał, rozprostował się, i ścisnąwszy rękę a wypreżywszy ją zdawał się chcieć niewidzialnego odpierać wroga.

Dobek czując że mu się sprzeciwiając więcej go jeszcze podrażni, milczał. Spoglądał tylko szukając w twarzy i oczach znaków uspokojenia, które nie przychodziło.

Stary Wincz coraz to z kubka popijał i mówił, jakby sam do siebie, mniej zważając na Dobka.

— Jeszczem ja tu dosyć silny, aby nie dopuścić czego nie chcę. W Polsce tej mojej lepiej mnie znają i więcej mnie się boją niż Łoktka i synka jego... Jest nas kupa, wszyscy moi pójda na skinienie ze mną, za mną... Nie od stanie dla niego żaden. Jam zęby na tém zjadł aby tu się panem uczynić i jestem nim...

Królewicz ze swoją śpiewającą Litwinką i wszystkimi dziewczkami, po za wrota zamku nie rozkazuje... kraju nie zna... ani jego nikt... W Krakowie się chował, na Węgrzech dokazy-

wał, nauczył się pięknie stroić, mówić gładko, śpiewać może — ale do oręża nie zdolny... Młokos jest... z nim ja sobie rady łatwo dam, a Łoktek starzec...

— Samiście przecie mówili że kamienny to pan! — przerwał Dobek.

— Tak, ale i kamienie ludzie kruszą, a jam téż nie przewiało słomiane!! — zawołał stary uparty Wincz.

— Ojczaszku! — począł błagająco synowiec.

— Nie do rady jam cię tu wezwał, — przerwał nie dając mówić Wincz — lecz bym ci rozkazy dał... rozumiesz!...

Zamilkł Dobek.

Po chwili przecie Świdwa trochę się zdał spokojniejszy.

— Przywiedli mnie do ostateczności — odezwał się — nie jam winien że tam się rzuć, gdzie muszę abym sromu uniknął...

— Jużci pana swojego nie zdradzicie! — szepnął Dobek.

Wyraz ten — zdrady — jak miecz w piersi uderzył starego. Porwał się z wrzaskiem.

— On mnie zdradził! — zawołał — on mnie! Jam miał obiecane wielkorządy do żywota. Nie umarłem przecie... żyję — zdradą mi królewicza na zamek wwiedli, zdradą mnie z mojego stołka zrzucili... Sami oręż mi w ręce pchają!! Biorę go i nie puszcę...

Wśród rozmowy noc nadeszła ciemna, ale chmury się przerzedziły, niebo zaiskrzone od zachodu u góry zczerniało i osypało gwiazdami.

W izbie zamkniętej od ognia i upału dnia gorąco się zrobiło.

Stary Wincz wstał z ławy na której siedział i poszedł do okna.

— Po tom cię wezwał — począł — abys mi ludzi zbierał. Wszystką siłę jaką my mamy, powinowaci nasi, i przyjaciele zwoływać trzeba...

— Ojczaszku — przerwał Dobek — poczniemy my, opatrzą się i drudzy... A nie wszyscy pójdą z nami, to pewna.

Dużo mamy druhow, ale i wrogów dosyć.

Wincz się uśmiechnął.

— Garść ich jest — rzekł. Nie wołać ich, będą siedzieli po kątach... Naszych więcej. Nie darmo ja tu lat tyle gospodarzył i ludzi sobie jednał...

— Lecz jeżeli zmiarkują że przeciw królowi ich prowadzić masz? — zapytał Dobek.

— Oni króla nie znają, bom ja tu im za niego był — wyrwał się stary — dość mi tego...

Wstał z ławy i chodzić począł.

Na chwilę rozmowa się przerwała, gdy w progu stanął Włostek, prawa ręka wojewody, pułkownik jego, mąż jak olbrzym z wąsami miotlastymi, w kalfanie skórzanym i pasie kutym, na którym miecz wisiał ogromny.

Wincz się ku niemu zawrócił.

— Ludzi swych pomieściles? — spytał.

— Po szopach śpią, warty stoją, rzekł — Włostek — ale nie z tém przyszedłem. Ziemianin z Sieradzkiego jakiś od króla się do was opowiada. Tylko co przybył.

— Z pismem? — zapytał Wincz.

— Widzi mi się że z gębą tylko — rzekł Włostek.

— Dawaj go tu — zamruczał wojewoda powolnym krokiem idąc ku drzwiom.

Pułkowódzca wyszedł spiesźnie i po chwili mąlej wprowadził zapowiedzianego posła.

Mężczyzna był lat średnich, prawy ziemianin a wojak, który się w miękkich pieluchach nie chował. Mąż jakby z dębu wyrzeźbiony, słuszny, barczysty, silny, twarz ni piękna ni brzydka a rozumna i mocy jakiejś dusznej pełna.

Po chodzie i obrocie znać było że się ani zatrwoży, ni zdziwi, ani da zbić z drogi. Wszedł tak pewien siebie, jakby nie przed wojewodą stawać miał, a do równego sobie w odwiedziny przybywał. Skłonił się mało, hełm zdjął i na rękę swym go położył.

— Czołem, panie wojewodo...

— Zkąd Bóg prowadzi? — hamując głos zapytał Wincz.

— Od wojska królewskiego mnie wysłano do was — rzekł poseł.

— Król? — przemówił Wincz.

— Nie, panam nie widział, ino naszego wojewodę Sieradzkiego, bom ja Sieradzianin z nad Pilicy od Hebdy i Hebda mnie z rozkazu króla do was wyprawił.

Wojewoda nim się zapytał z czém, jakby mu nie pilno się było dowiedzieć, lub łatwo się domyślał o co szło — naprzód kubek miodu nalał i podał go gościowi.

— Po drodze się pokrzepcie — rzekł.

Wolnym krokiem przybyły ku stołowi podszedł, wasy odgarnął, kubek ujął i miodu się napił.

---

## II.

Znał Dobek dobrze stryja swojego i wiedział że mimo gwałtowności, umiał w potrzebie i spokojnego udać i co wybuchało z niego w głąb nazad zepchnąć, nie spodziewał się jednak aby tak nagła zmiana zajść w nim mogła. Twarz nawet tylko co namiętnością drgająca, wygładziła się jak jezioro w pogodę, ani zmarszczki na niej nie było; głos brzmiał jakby w duszy pokój panował.

Z gwałtownych ruchów przeszedł naraz do ociążałych jakichś i obojętnych. Przybyły też pewnie odgadnąć nie mógł, iż na chwilę przed tém burzył się wojewoda.

Nie pilno mu było nawet pytać o to z czém przyjechał.

— A jakież tam drogi? — rzekł zimno.

— Różne... — rzekł z równym spokojem poseł. — Deszcze już ulewne przechodziły gdzieniegdzie, to i wody jesienne poprzybierały...

— Rozkisło u was bardzo? — mówił Wincz.

— A no! u mnie nad Pilicą wody dość—rzekł gość — indziej drogi niezgorsze...

— Cóż? zbieracie się już? Wici były? pytał stary.

— Co żyło to się pozbiegało pod chorągwie—mówił ziemianin. — Niemabo rady, król chce raz skończyć z Niemcami.

Wojewoda się uśmiechnął.

— Z Krzyżakami! — poprawił — a no! do brzeby było raz ich precz zegnać i Pomorze odzyskać, ale bodajby nie było trudno...

— Przy Bożej pomocy — zamruczał z wielkim spokojem poseł.

— Z czémże was do mnie wyprawiono? — odezwał się nareszcie Wincz.

— Waszój miłości też do tego tańca proszą niezwłocznie — odezwał się wysłany, Król Pan nasz nakazuje aby co żyje na granicy postawić, bo Krzyżaków tylko co nie widać.

Wojewoda obojętnie uśmiechał się.

— Będzie ich słyhać wprzód niż widać — rzekł. — Głośno idą te Niemcy, ho! ho!

Poseł nie zdawał się tém bynajmniej strwo-



żony, gładził się po głowie, usta ściagał, nie ogarniał go strach żaden przed tą głośną potęgą.

— Daremno was do mnie gnano — odparł wojewoda — bom ja moją powinność znał i bez tego...

Co ma być w swoim czasie przyjdzie...

— Spocznijcież u mnie — dodał. — A kto wam wskazał że mnie w Pomorzauach najdziecie?

— Byłem ci w Poznaniu na zamku — odparł ziemianin — ztamtąd mnie za wami wyprawiono.

Wojewoda nie rzekł nic.

Namyślił się nieco i wskazał na ławę przybyłemu, aby siadł, sam też nieco opodal się usadowił.

— Jak was zowią? — zapytał.

— Florjan Szary jestem, z Surdegi nad Pilicą — rzekł głosem spokojnym przybyły.

— A zawołanie wasze?

— Różnie nas wołają, a no i Koźlarogi — odparł Florjan. Ziemianieśmy w Sieradzczyźnie tak starzy jak ona...

— Sami też na wojnę idziecie? — szło dalej pytanie.

— Idę — mówił Szary — syna dorosłego nie mam jeszcze, a ojciec stary już i na konia nie siedzie. Rad nie rad ludzi prowadzić muszę.

— Jak to, nie rad! ziemianin a rycerz zawsze wojnie rad być musi — rzekł wojewoda.

— I ja też — mówił z flegmą Szary — ale

ojczysko stare rady sobie nie da z sąsiadem, a mam pod bokiem takiego... z piekła rodem...

Westchnął — rozśmiał się tój szczeroci wojewoda.

— Ten ci też musi na wojnę! — dodał.

— Nie, nie pójdzie, pośle kogo za siebie, bo będzie teraz właśnie z ojcem moim i czeladzią wojował — mówił Szary — od czasu jak tam siadł, dnia jednego pokoju od niego nie mieliśmy.

Westchnął znowu.

— Dlatego człowiek coby wojnie dla króla był rad, nie może się nią cieszyć, bo mu swoja własna dolega...

Wincz patrzył uważnie na mówiącego, a że w głosie jego żal i smutek się przebijał — nie wyciągał go już więcéj na słowo.

— Nalejcie sobie miodu — rzekł pół głosem.

Nie wymawiając się podróżny, poszedł do dzbanka, nachylił go, kubek napelnił i z nim powrócił na ławę.

— Wojna będzie sroga — począł Wojewoda trochę pomyślawszy. — Królewskiemu wojsku nie zarzucić nie można, dobre ono jest... ale Niemcy w stal pookowywani, każdy z nich gdyby twierdza, choć do niego się nasi dostaną, nie wiedzieć zkąd go począć... od stóp do głowy żelazo... konie téż zbrojne...

— Prawda to — rzekł Szary, ale za to gdy który z konia padnie, albo na ziemię się obali,

nie podniesie się łatwo i toporami go można dobić. Nie ruszają się też w boju tak rączo, jak nasi...

— Ale za to murem stoją — rozśmiał się wojewoda. Toście pewnie słyszeli, że gdy w rząd się ustawią a chcą nieprzyjacielowi oprzeć się, łańcuchami jeden do drugiego, od pasa do pasa poczepiają i wszyscy jakby z jednej bryły!!

— Za to — rzekł Szary obojętnie — byle jeden padł muszą z nim też wszyscy leżeć...

— Rzadko to u nich bywa — odezwał się wojewoda. — Już co do tych spraw wojennych i oręża doskonałego, nie wiem czy gdzie na świecie lepszy jest niż u Krzyżaków. Co roku do nich ciągną pielgrzymi nietylko z Niemiec całych, Francyi, ale i z Anglii i — kto wie z jakich krajów?

Gdzie kto co wynalazł i zrobił, oni to pierwsi mają. Oręż od Saracenów, od Arabów, z Włoch i z Hiszpanii.

Powiadają nawet że jakiś ogień piekielny, co go niedawno mnich w klasztorze gdzieś na Niemcach zrobił, już od lat trzech mają u siebie...

— Jaki ogień? — zapytał Dobek ciekawie...

— Kto go wie co to takiego jest — począł wojewoda. — Tajemnicę z tego robią, jak ów ogień przyrządzać, ale straszny bardzo, bo go z rur żelaznych puszczają z wielkim hukiem, i leci daleko a co napotka to pali i kamienie ciska...

Szary się przeżegnał pobożnie.

— Szatańska chyba moc, a mnichy jej duszę zaprzedawszy, kupili, rzekł. U nas o tem nie słyszeć dzięki Bogu.

— U nas nie słyszeć — odezwał się ironicznie wojewoda — to prawda, a oni trzy lata temu już ten ogień robić się nauczyli. Przyjdzie im oblegać twierdzę, rzucać tylko ogniste pociski i żeby najlepiej była obwarowana to ją zżęga.

— Ale na ludzi w boju przecie nie będą szatańską mocą ciskali? przerwał ziemianin.

— Dla czego? rzekł wojewoda — albo oni nas za ludzi mają i pożałują, u nich co nie niemiec to nie człowiek... Srogie bestyje! Szary westchnął, lecz miód popił i dodał tylko.

— Jak skoro moc szatańską mają, a nią się posługują, pan Bóg ich sam pobije jak Lucypera i zastępy jego.

Wojewoda z prostoduszności ziemianina uśmiechnął się nieco.

— Mnie się widzi — dorzucił, że nie z szatana oni to mają, kiedy krzyże na płaszczech noszą.

— Na płaszczech, rozśmiał się Dobek — ale nie w sercach.

Florjan Szary spojrzał ku niemu i uśmiechnął mu się.

Wojewoda tymczasem prawił dalej.

— Nie będzie nam z niemi łatwo wojować,

bo choć nasz lud mężny, ale tej chytrłości i rozumu co oni nie ma. Oni w sto włóczni na naszych tysiąc idą.

Milczeli słuchający.

— Nie dla tegoż serce mamy tracić? odezwał się Szary. Mądrzy oni ale i król pan nasz rozumny jest i wie jako z niemi poczynać, a Bóg łaskaw. Sprawa nasza dobra, swojej ziemi bronimy, oni cudzą rozdrapują.

Popił miodem Szary, obejrzał się, powoli z ławy wstał, kubek postawił, i skłonił się ku drzwiom zmierzając.

— Jaką mam odpowiedź zanieść panu Hebdzie? spytał od progu.

— Spieszno wam! wtrącił Wincz.

— Jutro muszę być w drodze, rzekł Szary... Spoczywać nie czas.

Wojewoda powstał trochę, dumając.

— Jedźcie z Bogiem — odezwał się, a wojewodzie powiedzcie, że ja co mi powinność moja każe, uczynię. Znajdą mnie gdzie potrzeba.

Tak dwuznacznie odprawivszy poselstwo, kiwnął głową wojewoda, ręką dał znak. Szary się trochę pokłonił i wysunął z izby.

Czas był do snu już dawno, Dobek też przeciągnął się, ziewnął i obejrzał za posłaniem.

— Mnie jeszcze sen nie bierze — rzekł rozstając się z nim wojewoda, a jutro pomówimy z sobą,

bo mi ludzi przyprowadzić musisz i godziny do stracenia nie ma.

Dobek już na wychodnem się wstrzymał. Spojrzał stryjowi w oczy, mówiąc wejrzeniem to, czego już nieśmiało powtórzyć słowy.

Zrozumiał wzrok Wincz i odwrócił się z uporem.

— Spij spokojnie — rzekł ściskając go za rękę. Żadna siła w świecie nie może mnie od tego odwieść com raz postanowił.

Dobek wyszedł.

Zaledwie się oddalił do izby w której mu posłanie ludzie jego przygotowali, gdy wojewoda Włostka do siebie zawołać kazał.

Zbliżył się do niego znowu rozgorączkowany i niecierpliwy.

— Ślij mi po ludzi, rzekł — spieszyć... Już mnie posłami gnają aż tu. Niech pułki wszystkie i co naszego rycerstwa jest, do mnie przybywa. Im więcej nas będzie tem lepiej. Zbierać a wici słać nagłące, pod gardłem, pod sromotą, do ostatniego człeka... potrzebuję ludzi wielu.

Mówił tak przerywanym głosem, a Włostek, proste niby człeczysko tak mu w oczy patrzył, jakby jego myśl odgadywał.

Było to spojrzenie starego sługi, albo zwierzęcia wiernego co się z człowiekiem zżywszy, czyta mu w oczach i niewypowiedziane wyrywa z głębi duszy.

Po cichu rzekł Włostek.

— Nie już tak pilno królowi służyć, kiedy on nas...

Nie dokończył; wojewoda tylko nań spojrzał, i po ramieniu go uderzył.

— Ludzi trzeba, rzekł porywczo, a co potem — mnie wiedzieć... Idź — a spraw się.

W drugiej izbie zgotowane było posłanie dla Wineza, nie na łożu bo go tam brakło, ani na tarczanie bo i tego nie było we dworze, ale obozowe na ziemi, skórąmi pokryte.

Podszedł Winez ku niemn, popatrzał, lecz układać się do snu nie miał ochoty.

Pachole go rozebrało do siwego kaftana, siadł w nim dumać na ławie...

We dworze ucichło — spali wszyscy, wojewoda na komin polan dorzucać kazał, sen go nie brał. W duszy jego całe życie przechodziło płomieniami i czernią, wspomnieniami jasnymi i smutnymi. Stał jakby w progu nowego — a na stare się oglądał. Żal serce ścisnął chwilami, to gniew brał górę — duma nim rzucała, wszystko zasłaniając sobą. Zemsty pragnął...

Tak długa noc posepna, cicho upłynęła cała w pół snie, pół burzy tej dusznej, która czasu obliczyć nie dała. Zaczęło już szarzeć na dzień i ogień wygasał, gdy wojewoda jak siedział u stołu wsparty na rękę usnął.

Otworzyłszy oczy zaledwie mógł im uwierzyć.

W pół mroku stała przed nim postać niewieścia, w długich szatach podróżnych, w białej zawitce dokoła twarzy i pod brodą, w czapce na głowie z chustą białą w ręku. Stała i ręce złożwszy zwisłe patrzyła nań z politowaniem i przestachem razem.

Twarz, którą biały rąbek otulał, piękna niegdyś, była jeszcze urodziwą, szlachetną, a słodczy pełną, razem i męztwa nie niewieściego. Wielkie czarne oczy w oprawie powiek zarysowanych wdzięcznie, patrzyły łzawo ale śmiało, i brwi nad niemi ciemne jakiś ból ściagał. Wyraz jego piętnował i usta małe a zbladłe.

Panią i matronę poznawać w niej było łatwo, która choć niewiastą, więc ledwie na pół wolną się czuła, zachowała powagę i wiarę w moc swoją.

Patrzyła tak na śpiącego jakby stała nad kołobką chorego dziecka, zrozpaczona i mężna, ufająca w Boga.

Wojewoda podniósł głowę, oczy przetarł, obejrzał się do koła, jakby nie wierzył im i potrzebował przypomnieć sobie kędy się znajduje. Ona wciąż milcząc wpatrywała się jeszcze, a potem rzuciwszy nagle z wybuchem płaczu i jęku zawiesiła mu się na szyi.

— Halka? co ty tu? zamruczał poruszając się Wincz... Halka?! tutaj?...

— Tak — tutaj aż zbiegłam za tobą, ode-



zwała się niewiasta głosem dzwięcznym a pewnym — tak, musiałam dogonić ciebie — bo wiem, czuję co się w duszy twej dzieje... Winczu mój!

Głos jej zmiękł i w płacz się znowu przemienił.

Wojewoda zlekka odtrącił ją od siebie.

— Babskie trwogi dziecinne, rzekł pomięszany, coś się ma dziać? Nic się nie stało, i nic...

— Winczu mój, panie mój — w twojej duszy stała się okropna sprawa... poczęła Halka. Nie mówileś mi nic, alem nie daremnie żyła z tobą lat tyle, i nmiem odgadywać nawet to co jutro myśleć będziesz.

Odstąpiła na krok i załamała rękę.

— Panie mój — nie! to się nie stanie. Lepiej być męczennikiem niż katem i zdrajcą!!

Ostatni wyraz posłyszawszy wojewoda jak piorunem ciśnięty rzucił się z ławy, wyprostował, głowę odrzucił na ramiona.

— Mnie zdradzili — krzyknął — ząb za ząb. Nie zdrada to będzie, ale splata długu... Nie byłbym mężem gdybym ścierpiał sromotę nie zmazawszy jej krwią. Usta Halki otwały się jakby mówić coś chciała.

— Milcz! milcz — zawołał wojewoda, którego twarz straszliwym wyrazem się zmieniła. Tyś niewiasta, ty nie rozumiesz tego, nie twoja rzecz. Strzeż swej czci, ale mojej straż zostaw mnie...

Ruszył się jakby iść chciał, niewiasta mu drogę zastępowała.

— Zgadłam więc — zawołała podnosząc ręce, panie mój! jeszcze czas...

Z gwałtownego oburzenia i gniewu, Wincz przeszedł nagle w jakieś urąganie i szyderstwo, z którem mu łatwiej może było żonie dostać placu.

— Dość! dość! Wiesz że się nikomu mieszać w moje sprawy nie daję... Długie włosy macie, czeszcie je, aby pięknie świeciły, to wasza rzecz! Dać mi pokój!... Dać mi pokój!...

— Żoną jestem twoją, odparła mężnie Halka. Nie mieszam się do niczego, lecz gdy o cześć i sumienie chodzi — ubij mnie... Wojewoda ruszył ramionami.

— Ubić nie ubiję, rzekł szydersko, lecz na koń lub wóz wsadzić każę i odprawię abyś mi nie rozbijała głowy. Świdwowie się nigdy babom wodzić nie dawali, ani ja pozwolę...

Namarszczył się groźnie, lecz żona stała nieustraszona.

Łzy biegleły po jej twarzy, nie wiedziała co mówić miała, słów jej nie stało, padła na kolana, wojewoda się rozgniewał i krzyknął; lecz widząc ją omdlewającą na poły, schylił się, podniósł w milczeniu i na łożu swem, które stało nietknięte położył.

Dwie towarzyszki które za drzwiami czekały, wsunęły się natychmiast niespokojne o panią, a

wojewoda korzystając z tego wyśliznął się z sy-pialni, przeszedł wielką izbę pierwszą i nie za-trzymał aż w podsieni u słupów. Tu już był Dobek, który wstał raniej. Nie powitali się na-wet. Wojewoda był gniewny i wzruszony.

Zwrócił się do niego.

— Niemasz tu już co dłużej gościć — rzekł — wiesz czego żądam... Jedź.

Dobek popatrzył mu w oczy.

— Jam głową domu, jam wojewodą waszym, nie zrzucili mnie jeszcze... posłuchu żądam, po-słuch mieć muszę. Nie proszę o radę nikogo. Jedź — a spiesz.

Dobek tak go widział poruszonym, iż długo przemówić nie mógł.

— Do dziś dnia — odezwał się w końcu — byłem gałęzi mej Nałęczowego zawołania głową, — ale od dziś nie chcę być więcej. Stawcie na miej-sce moje innego, ja tam gdzie wy, nie pójdę.

Wincz natarł nań groźnie.

— Wieszże ty dokąd ja idę? zawołał.

— Wiem — rzekł Dobek stanowczo — i dla tego z wami iść nie chcę.

Zwrócił się wołając na swych ludzi. Wczoraj łagodny i miękki, Dobek dziś występował mężko i śmiało, wojewoda zamruczał tylko i podniosł-szy głos:

— Bez jednego człeka obejść się łatwo — za-wołał śmiejąc się złośliwie. Z panem Bogiem!

Pamiętajcie tylko że ja, choćby mi wielkie rządy odjąć chciano, rychlej tu rozkazywać będę niż kto inny.

Dobek ze spuszczoną głową, niechcąc sporu przedłużać, z bolem wypowiedziawszy co miał na sercu, stał milczący. Rękami tylko dawał swym ludziom w dziedzińcu znaki, ażeby mu konie co rychlej prowadzono.

Czeladź biegła siodłając i wędzidła nakładając, bo konie dopiero u wodopoju były. Przeciagnął się więc wyjazd, na który Dobek zżymając się i niecierpliwie czekał.

Wincz który stał długo w nadziei że z synowcem na nowo rozmowę zawiąże, w końcu widząc go odwróconym w stronę i umyślnie milczącym, odszedł gniewny.

Miał już siadać na podprowadzonego mu konia, młodszy Nałecz, gdy za płotem ukazali się jezdni i w podwórzec wpadł kłusem zbrojny mąż, od Dobka młodszy, z oczyma bystremi, żywy, wesół, lecz coś obce pochodzenie i obyczaj zdradzającego mający w sobie. Strój jego i uzbrojenie było mniej więcej takie jak naówczas nosili wszyscy ci, co do zamożniejszego liczyli się rycerstwa.

Polska nie odróżniała się wielce od narodów zachodu powierzchownością w wyższych społeczeństwach klasach. Wojsko było mniej dobrze uzbrojone, ubożsi ziemianie nosili się ze staro-

świecka i podług dawnego obyczaju; ale na dworach królów i książąt, mających stosunki częste z Europą, strój i zbroja, pochodzenia francuskiego, włoskiego, niemieckiego, przeważały. Duchowieństwo które dawniej jeździło do Rzymu często, teraz do Awinjonu, rycerstwo które także chętnie się zaciągało za granicą dla poznania świata, kupcy dla zysku przywozili sprzęt, oręż, sukna flamandzkie, hollenderskie tkaniny, klejnoty, broń i t. p.

Na wojnie ziemianie bogatsi zbroje nosili takie w jakie Niemcy i Francuzi opatrzeni byli.

Przybywający wyglądał jeżeli nie z cudzoziemska, to na wzór obcych w stal okuty, i suknie miał wykwinicie szyte, o które dbać się zdawał. Koń też jego miał drucianą siatkę na sobie i rozmaite świecące blaszki na rzedzie.

Mężczyzna lat około trzydziestu, pięknej twarzy, ciemnowłosey, zręczny, zatoczył koniem przed dworzec jakby dla popisu, i choć dużo miał blach na sobie, lekko skoczył z siodła, konia pacholikowi tarczowemu oddając.

W chwili gdy Dobek spozierał ku niemu, oczy się ich spotkały... Znajomi musieli być, bo przyjezdny chciał go witac i posunął się już ku niemu gdy Dobek głową mu skinawszy tylko, szybko podanego wierzchowca dosiadł — i od podsieni ruszył...

Przybyły stanął nieco tem zdziwiony, gdy

Wincz, który musiał go zobaczyć, wyszedł na spotkanie. Ujrzawszy gospodarza rycerz zwrócił się zaraz ku niemu i powitał go z poszanowaniem wielkiem.

Zamienili wejrzenie jakby się porozumiewali, wojewoda wprowadził go do dworu, lecz nie do izby blisko której żonę zostawił, ale do głębszej komnaty na tyłach, tak pustej jak całe to domostwo.

Przybyły ów gość osiadłym był od dziada w Wielkiej Polsce i liczył się już do tutejszych ziemian, chociaż krwią do nich nie należał. Ojciec jego na dwór króla Przemka sprowadzony z Nieniec dla biegłości w sztuce turniejów i różnych rycerskich ćwiczeniach, zasłużywszy się pann, otrzymał od niego posiadłości znaczne, ziemię i lasy, tu się z córką ubogiego ziemianina ożenił i nazwisko nawet swe niemieckie von Kopfen zmienił na Kope... Syn jego Petrek na pół był Niemcem dla ojca, pół Polakiem dla matki, — więcej go jednak pono ciągnęło serce nad Ren, skąd pochodził, niż nad Wartę i Wisłę.

Za młodu stary oddawał go na służbę rycerską do wojsk cesarskich, Petrek włóczył się z nimi po Włoszech, napatrzył świata i nabrał smaku do obczyzny. Gdy powrócił nie mu w domu nie smakowało, tęsknił za Niemcami i za życiem zachodnim. Wszystko mu w domu się barbarzyń-

skiem wydawało: wyśmiewał się z ludzi i obyczajów...

Lecz, ziemię jaką po ojcu wziął trzymały go tam; a że z ziemianami prostakami żyć nie lubiał, najwięcej po dworach różnych przesiadywał. Nim królewicz Kaźmierz przybył do Poznania, wieszał się u dworu wojewody poznańskiego Wincza Swidwy z Pomorza i Szamotuł. Lubił go on, bo wesołymi rozmowami i śpiewkami wedle obyczaju niemieckiego i opowiadaniem o podróżach swych go zabawiał.

Petrek, choć go pan wojewoda stale do siebie chciał przywiązać, nie dał się skusić żadną dostojnością. Siadywał u niego po dobrej woli, a podczas zniknął i mówiono różnie o nim: jedni utrzymywali że za granicę jeździwał, i po dworach niemieckich się zabawiał, drudzy że z Krzyżakami wyprawy przeciwko Litwie jako gość odbywał, on sam powiadał że doma siedział.

Do stosunków z zakonem niemieckim, z powodu że się on srodze z królem Łokietkiem zadzierał, niebezpiecznie przyznawać się było.

Jak wszyscy tacy ludzie co raz błędnego życia zakosztowali, i miejsca zagrzać nie lubią, Petrek płocho był, bawić się i śmiać lubił, szukał wesołego towarzystwa, wypraw awanturnicznych — towarzyszków coraz nowych. Na męztwie mu nie zbywało, lecz więcej miał jeszcze wprawy

i zręczności niż siły; a sprytu i wymowy niż rozumu i powagi.

Gdy z wojewodą razem weszli do pustej izby, a wojewoda się obejrzał w koło, jakby upewnić chciał że ich nikt nie podsłucha; Petrek hełm już zdjął i pasa począł sobie zwalniać... Zbliżyli się do siebie, tak aby po cichu rozmawiać mogli.

— Dotarłeś aż do gniazda? zapytał Wincz.

Z uśmiechem zwyciężkim głową naprzód Petrek dał znak potakujący.

— Panie wojewodo — rzekł wesołym głosem z przechwałką butną, znacie sługę waszego, że co zamierza zawsze dopiąć musi, choćby karku nastawić przyszło! I tym razem, prawdę mówiąc, w chwili gdy już wojna wypowiedziana, gdy oni idą na nas, dostać się do wielkiego mistrza nie było łatwo.

— Sam li on dowodzić będzie! zapytał ciekawie wojewoda.

— Myślę że nie — odparł Petrek. Poprowadzi może swoich do Torunia, a wyprawą dowodzić będzie marszałek.

— Widzieliście jego samego! począł badać wojewoda.

— Tak jako was widzę w tej chwili! śmiejąc się odparł Petrek... Widziałem go i mówiłem z nim, bo takiej sprawy, ani nawet wielkiemu komturowi, ani marszałkowi poruczać nie mogłem.



Musiałem z samym Luderem mówić i to na cztery oczy... Do Bromberga aż musiałem, aby go pochwycić.

Wojewoda słuchał widocznie z zajęciem wielkiem, dech wstrzymywał, oczy mu się zaiskrzyły.

Petrek jakby tej niecierpliwości dowiedzenia się skutku nie rozumiał, mówił przechwalając się obojętnie.

— Przyjęli mnie bardzo dobrze, jak starego znajomego i towarzysza broni. W Toruniu musiałem z nimi pić całą noc... Ochota okrutna, bo się na tę wyprawę z wielkiem sercem gotują, a dali sobie hasło w pień ciąć co napadną i palić żeby jedna chata ni budynek po nich nie pozostał...

Mówią że korzystać chcą z tego iż króla Jana z sobą nie będą mieć w początku wyprawy, bo Czech im ludzi wyrzynać nie dawał a chrzcic kazał, czego mu darować nie mogą.

— Ale cóż mistrz? co mistrz? przerwał wojewoda.

— Mistrz też mnie przyjął dobrze i zaraz do rozmowy dopuścił, mówił Petrek, choć gości dostojnych miał z Anglii i Niemiec, których przyjmować musiał.

— Cóż rzekł? co? wtrącił Wincz — mów, a nie trzymaj mnie na wolnem ogniu.

— Zdawał się radować postanowieniu waszemu — odezwał się Petrek — ale cóż? ogół-

nemi słowy tylko się ze mną o tem rozgadał, wciąż powtarzając jedno. — Sam z wojewodą o tem muszę się układać.

Chce abyście do niego przybyli.

— Mówiliście mn warunki moje! pytał Wincz.

— Juściż to było najpierwszem — rzekł Petrek, iż chcecie i domagacie się aby waszego kraju nie napastowali i nie niszczyli, a uważali go jako sprzymierzony. Na to mi rzekł kwaśno mistrz, iż do arcybiskupa Gnieźnieńskiego żał ma i na nim się mścić musi, ani mu może darować, choć na tej ziemi siedzi.

Nachmurzył się wojewoda.

— Ciągną już! gdzie są! zawołał...

— Myślę że koło Torunia się zbiorą wszyscy, i mistrza tam też zastaniecie, ale prędko potrzeba iść, aby was wyprzedzając nie rozlali się na Wielką Polskę...

Wojewoda na ławę przysiadłszy zadumał się.

— Pojedziecie ze mną — rzekł po namyśle.

— Rozumie się że nie odstąpię was — prędko dorzucił Petrek. Nie pochlebiając sobie, trudno by też było bezemnie który wszystkie drogi i przesmyki znam i rozmówić się z nimi umiem, — dostać się z całą głową do Krzyżaków.

Wojewoda wstał, popatrzył na podłogę, podumał.

— Cicho — rzekł — cicho — zapowiedzą się łowy na jutro, pojedziemy w lasy, wy ze mną,

i do Torunia! Nie może już inaczej być. Chcieli tego... zmusili mnie. Niemogę inaczej... Sromu nie zniosę — lepiej śmierć.

Cheiał król... chciał... stanie się.

Westchnął ciężko wojewoda.

Tłumaczył się jakby z potrzeby przed samym sobą, i powtórzył razy kilka jeszcze pół głosem.

— Cheiał król! zmusił mnie... Nie może już inaczej być — nie może...

---

### III.

Twierdza i osada krzyżacka w Toruniu, przed stu laty już, na prędcie naówczas sklecona pod strachem takim, że budujący ją czółna gotowe do ucieczki trzymać musieli, napaści Prusaków obawiając się — miała czas rozrosnąć się, wybudując, umocnić w rękach zakonu.

Teraz było to okazałe i silne zameczysko, gród murami, basztami i samą rzeką, a wałami i przepkopy broniony. Z dala już ściany jego, wsporniale się okazywały, świadcząc jak ci co tu niegdys z małą garścią przyciągnęli na cudzą ziemię — silnie w nią już wrośli i w potęgę się wzbili.

Minęły dawno te czasy gdy za lichym wałem i naprędcie wbitemi ostrokołami pierwsza gromadka rycerzy niemieckich przyszła tu na prawym brzegu rzeki stawiając kroki nieśmiało, co ją tak daleko zaprowadzić miały.

W przeciągu wieku Toruń ciągle się rozposcierając, krzepiąc ciągle nowemi csadnikami zaludniając, walczył teraz niemal z Malborgiem o lepsze.

W murach było się gdzie i większej sile rycerzy pomieścić, a znaczne zapasy oręża i żywności, w wielkich gmachach były nagromadzone. Żaden rok nie minął by się tu z czerwonej cegły misternie budowane domostwo jakie nie podniosło ku górze.

Krzyżacy w częstych wycieczkach swoich tu mieli miejsce zborne, i ztąd wyciągali w różne strony. Z pewną czcią byli dla tego jednego z najpierwszych gniazd swoich, pełnego pamiątek.

Tu teraz mistrz Luder książę Brunswicki, z tego domu który trzech swoich członków oddał na posługi zakonu — doprowadził wojsko, które na Polskę, grabież i pożogę Łoktkowych włości przeznaczonem było.

Sama głowa rycerskiego tego stowarzyszenia, wiodła starszyznę i gości na brzeg Wisły, zdać tu mając dowództwo marszałkowi i komturowi wielkiemu. Dziwiono się trochę temu iż wielki mistrz, który zawczasu oświadczył iż sam wyprawą dowodzić nie może, chciał ją aż do Torunia wieść, choć ważne sprawy powoływały go do Malboga.

Mistrz Luder, który po Orselenie, zabitym zdradziecko, nastąpił, miał wielkie zadanie na

barkach swoich. Krzyżacy, którym od przesiedlenia się na tą ziemię podarowaną im dla dalszych na poganach zdobyczy — wiodło się ze szczęściem szczególnem, choć je słabości i nieopatrzności tych zawdzięczali co ich na pomoc wezwali; Krzyżacy od przybycia swojego tu z surową regułą zakonną; — samym trybem życia wojennego z niej się wylamywać poczęli.

Dawne owe prawa, które ich pół-mnichami czyniły, zapomniane zostały i lekceważone. Napływ rycerskich awanturników z całej Europy. przynosił tu z sobą wcale nie mnische obyczaje. Wyprawy na pogan dzikimi jak oni czyniły ludzi. Nie szanowano w nich nic, ani też siebie. Zakonnik codziennie na śmierć się narażając, gdy tylko mógł, z życia chwili każdej korzystał.

Zamiast modlitw brzmiały śpiewy wesole i piosnki miłosne u stolów, nie mierzono wina, nie wzbraniano kosztownych łańcuchów, mnich co nie powinien był mieć żadnej własności, bo nawet suknia którą nosił, mogła mu być odjęta, lupił czasu wojny i łupu nie oddawał do ogólnej skarbnicy. Rozpusta, samowola, zbytki się zagłębiły.

Przyszło do tego że jeden obrażony rycerz, którego przeszły mistrz na wyprawę wziąć nie chciał, mściwą ręką go ubił.

Po zabitym Orselnie wybrano mistrzem Luderą, który swym tytułem książęcym i związkami

wrażał powagę, a był mężem energicznym i rozumnym — ażeby dawną karność przywrócił w zakonie.

Zadanie to było ciężkie nad którem musiał on, nie odstępować na krok stolicy, czuwać aby je w najmniejszych spełniać szczegółach.

Był Luder już od lat kilkudziesięciu krzyżackim płaszczem przyodziany, bo go bardzo za młodu oddano zakonowi, — pół wieku niemal dzieląc losy jego wtajemniczonym był najlepiej w to życie wewnętrzne, którego znał wszystkie sprężyny. Mężny żołnierz, ale zarazem pobożny pan, człowiek wykształcony, poeta po troszę; Luder szanowanym był przez współbraci i gdy do wyboru przyszło postawiono go na czele, bo on najlepiej wyrywających się z posłuszeństwa i z pod prawa, utrzymać w nich umiał.

Siwiejący już, czynnego ciągle życia, wojak, myśliwy, Luder, mimo wieku był jeszcze mężem wielkiej siły, powagi i rzeźwości do pracy. Choć starszyźnie krzyżackiej, która się teraz białemi płaszczami odznaczała, uboższych braci strojąc szaro nie zbywało na mężach rycerskiej postawy, i warunkiem niemal przyjęcia do zakonu była siła fizyczna; — Mistrz Luder stanąwszy wśród swoich, pół głową ich przerastał, a zbroi jego bez kilku kaftanów pod spód podłożonych, żadenby z braci nie wdział na siebie.

Twarz też miał jakby do rozkazywania stwo-

rzoną — oczyma, brwiami, wyrazem samym rozkazującą.

Mówił mało, lecz gdy co rzekł, spierać się z nim nie było można. Wydawał wyroki i nie-odwoływał ich nigdy.

Od śmierci Orselna, którego w chwili napaści na progu własnego mieszkania bronić nie było komu, postanowiono by dwu rycerzy nie odstąpić, wszędzie mistrzowi towarzyszyli. Wybrał sobie na kompanów tych Luder, Konrada von Gartau i Ottona Dobner'a.

Właśnie z niemi razem zajmował izby, które dlań na zamku toruńskim przeznaczone były — gdy Dobner, który się był u drzwi nieco zatrzymał, szepnął mu iż tu już nań oczekiwano.

Mistrz ledwie był z konia zsiadł, i należał mu spoczynek, bo część nocy spędził w drodze, lecz posłyszawszy imię które Dobner mu szepnął — wnet dał rozkaz aby przybyłych do sąsiedniej izby wprowadzono.

W Toruniu jak w Malborgu na zamku z dwójga komnat rodzajów składały się mieszkania. Wielkie i bardzo przestronne sale służyły dla zgromadzeń zakonnych i gościnnych stolów, do których często po sto i więcej osób zasiadało. Izby w których pojedynczy zakonnicy, nie wyjmując mistrza, komtura i dostojników, przemieszkiwali — były ciasne, małe, a dla samego ogrzewania łatwiej-



szego kominami — nie bardzo przestronne. Były to niemal cele klasztorne.

I ta w której Luder się przeodziewał nie większą była od innych, lecz obok mała jadalnia, kilkanaście osób mogła pomieścić. Widok z niej przez okno duże, na Wisłę i przeciwne jej brzegi wychodził.

Tu w przyciemnionym kącie, na ławie ze spuszczoną głową siedział stary mężczyzna — w stroju po którym stanu jego rozpoznać było trudno. Można było sądzić iż się umyślnie przebrał tak aby go nie poznano. Szare suknie ale z sukna przedniego nie miały nic coby je odznaczać i oko mogło zwrócić na nie. Miecz krótki a szeroki w pochwach czarnych także się nie świecił ozdobami. Mimo to coś w tym człowieku znamionowało nawykłego do rozkazywania raczej niż posłuszeństwa.

Siedział i czekał, a samo oczekiwanie już krew w nim burzyło, patrzył na drzwi, poruszał się niespokojnie, jak gdyby obrażało go to że nie pospieszono prędzej przeciwko niemu. Był to wojewoda i wielkorządca poznański Wincz z Pomorzan.. On! u Krzyżaków, on oczekujący na mistrza, u drzwi jego.. w ręku wrogów i ich mocy!!

W duszy powtarzał to sobie szydersko, z goryczą, jakby sam niewierząc temu co z nim uczyły losy.



Na towarzyszu jego Petru Kopie, pobyt na zamku toruńskim tak wielkiego nie czynił wrażenia. Chodził on z wesołą twarzą po izbie, oknem wyglądał, i wspaniałością gmachów, w których się znajdował z przyjemnością napawać się zdawał. Na twarzy igrał uśmiech jakby rad był że wielką sprawę szczęśliwie doprowadził do końca.

Wincz milczał i wzdychał. Potrzebował ciągle przypominać sobie co go spotkało, aby wytłumaczyć co czynił i zagłuszyć sumienie.

Po chwili wyczekiwania która mu się nad miarę długą wydawała, otwarły się wreszcie drzwi, i mistrz Luder w białej sukni, bez miecza, odziany po domowemu wszedł sam, zamykając je natychmiast za sobą.

Wojewoda wstał nie spiesząc, powoli i mierzonemi krokami począł zbliżać się ku niemu.

Oba oni, nie znając się wcale, naprzód oczyma ciekawemi mierzyli, siły swe oceniając.

Wincz Świdwa tak miał pańską postawę jak Luder, — oba niemal się czuli równemi dumą. Mistrz czuł że człowieka tego musi oszczędzać i łagodzić — Wincz zrozumiał iż pod płaszczem zakonnika stał przed nim książę niemiecki. .

Sklonili się sobie głowami, lecz Luder ręki nie wyciągnął.

Usłużny Petrek żwawo po niemiecku zaczął wojewodę polecać, ułatwiając rozmowę, która łamanym językiem dla obu nie łatwą być miała.

Od pół wieku tu już siedząc, książę się języków różnych uczył po trochu, lecz żadnym nie mówił dobrze, mając je jako barbarzyńskie w pogardzie. Pruskim z musu i dla stosunków z ludem, mówił najlepiej; Swidwa zaś oprócz polskiego mało co niemieckiego tylko rozumiał.

Petrek Kopa stał się jako tłumacz i pomocnik niezbędnym, i tak ta rozmowa, która powinna była być tajemną i poufną, bez świadka się nie obeszła.

To ją czyniło nad wyraz trudną i przykrą dla wojewody.

W pierwszej chwili ledwie srom swój mógł przemódz, zabełkotał coś niewyraźnie i lzy mu z oczów trysnęły.

Skarzył się ne upokorzenie jakiego doznał od króla, a tu on sam z dobrej woli na stokroć się boleśniejsze narazić musiał. Przybrał tem dumniejszą postawę im boleśniej czuł się dotkniętym...

Luder zdawał się rozumieć co się w duszy tego człowieka działo, i chciał litościwym i łagodnym się okazać.

Po krótkiej walce z sobą, wybuchnął wojewoda niezważając ani na to czy zrozumianym będzie, i czy usłużny tłumacz za słowami jego wydaży.

— Widzicie mnie przychodzącego do was, mówił gorączkowo, bo panu temu któremu do siwego

służyłem włosa dłużej nie chcę i nie mogę... Stała mi się krzywda... chcę pomsty... kraj którym rządziłem lat tyle, który mu dałem i utrzymałem, — jest mój do dziś dnia, pójdzie za mną. Przyprowadzę wam wojsko w posilek, i niełada ludzi, ale takich co najlepiej znają tę ziemię... a ja ją znam najlepiej nieprzyjaciela z którym walczyć macie...

Mistrz słuchał zaledwie lekkim głowy poruszeniem dając poznać że rozumie. Wojewoda wybuchał wciąż z gorączką wielką, mistrz jakby od niej ostygła, stawał się zimniejszym coraz.

Nie odpowiedział ni słowa...

To jątrzyło wojewodę, który powtarzać się począł z narzekaniami i gniewy, z wysławianiem siebie...

W zamian Krzyżacki pan nie spieszył z żądną ze swej strony ofiarą -- wojewoda zmuszonym był przez tłumacza zażądać warunków dla siebie.

— Spodziewam się, rzekł, iż ocenicie usługę jaką wam oddaję osobą moją i ludźmi. Pragnę abym się przy tej ziemi, którą wam jako sprzymierzeniec oddaję pod opiekę, — utrzymał panem zwierzchnim. Nietylko ją pozyskacie, ale pozbędziecie się króla i jego do Pomorza pretensyi...

Mam więc prawo domagać się..

Mistrz niedokończoną mowę przerwał zwolna

cedzonemi wyrazy, po niemiecku mówiąc dla Petrka, a patrząc chłodno i z góry na wojewodę.

— Zakon niewdzięcznym nie jest... Skoro usługa się okaże wielką, nagrodę da słuszną.. Ale potrzebuje naprzód mieć to co mu obiecujecie, a potem oceni i zawdzięczy..

— Chcecie więc bym się zdał na łaskę lub niełaskę? zawołał wojewoda. Ja tu czuję się równym wam, i jako z równymi mówić przychodzę. Przymierze przynoszę, mówmy o warunkach.

Mistrz spokojnie się uśmiechnął.

— Mylicie się, panie Palatynie, rzekł do Petrka. Jak skoro już tu jesteście i krok ten uczyniliście, na łaskę i niełaskę zakonu zdaliście się dobrowolnie. Lecz wspaniałomyślny zakon rycerzy Grobu Pańskiego i słoń Maryi, nie zechce korzystać tej mocy, jaką mu daje nad wami nieszczęście wasze.

Spokojni bądźcie.

Wojewoda postrzegł dopiero teraz może, jak daleko zaszedł i jak zwrót był niepodobnym.

W istocie był na łasce lub niełasce zakonu, w rękach jego, nie wolnym sprzymierzeńcem, ale przymusowym sługą. Zemsta czyniła go niewolnikiem — westchnął boleśnie. Mistrz uznał właściwem ranę złagodzić i wyrzekł kilka słów pochlebnych.

— Nie trwożcie się — począł — byśmy po-

sługi waszej nie umieli ocenić. Jest ona dla nas przydatną i nie zaprzemy jej.

Poczem natychmiast spytał jeszcze Petrka, ilu mu ludzi przyprowadzić może wojewoda, jak zbrojnych i kiedy się z nimi stawić może.

Rozmowa z namiętnej stawiała się chłodniejszą i rachunkową.

Lecz niepodobieństwem było wojewodzie ściśle siły zbierające się oznaczyć. Obiecywał do tysiąca rycerstwa dobrze zbrojnego, a kilkakrotnie tyle ludu pospolitego, który ono prowadzić miało.

Mistrz chłodno uczynił uwagę że najlepiej zbrojny Polak z niemieckim rycerzem na równi stanąć nie mógł i dodał że ludu też nie wiele ceni, chyba dla straży przy łupach i zdobyczy.

Zniżał tym sposobem szacunek ofiary, jak gdyby chciał razem i nagrody niemieckie uszczuplić.

Dotknęło to wojewodę, zżymnął się srodze.

— Prawda jest, rzekł, że nasze rycerstwo tyle żelaza na sobie nie nosi, lecz się łącniej za to obraca, a czasu boju gdy się na stronę w której posiłków potrzeba przerzucić może, wielkie usługi oddać potrafi.

Luder nie chciał temu zaprzeczać, głową tylko potwierdził co słyszał. Rzekł potem zaraz że mu pilno było, i że posiłków tych oczekiwać długo nie może. wszystko już mając do wyprawy pogotowiu.

Wojewoda odparł opryskliwie i niechętnie,

że gońców rozesłał i że w dni kilka przyciągnąć może.

Mistrz na dni kilka wyraził zgodę. Tak na mały czas wyczerpana pozornie przerwała się rozmowa.. Spozierali na siebie, lecz trudno było zrozumieć iż wojewoda miał wiele na sercu, z czego się nie wypowiadał, co chciał obwarować i wypowiedzieć.

Luder też cierpliwie czekał.

Shepnął Wincz Petrkowi już prędko mówiąc, aby zawarował u Mistrza że ziemi tej z której on mu żołnierza przyprowadzi niszczyć i najeżdżać nie będzie..

Nastąpiło długie milczenie, stał mistrz zadumany, niepewny, obrachowując co miał powiedzieć, nie spiesząc z obietnicą żadną.

— Znacie co to wojna, rzekł w końcu. Gdy się wyciąga w pole, wie wódz dokąd prowadzi, a jak daleko zajdzie i gdzie mu zboczyć przyjdzie, pewnym nie jest nigdy. Próżną tu więc byłaby obietnica, której dotrzymać nie jest w ludzkiej mocy.

Zechcemy ziemię waszą i posiadłości szanować, jak posiłkującemu należy — lecz za los wojny któż zaręczy?

Poruszył ramionami.

Wincz wlepił w niego oczy, i nie wyczytać nie mógł w wejrzeniu oprócz chłodu i pewności siebie a tej wyższości z jaką mistrz to mu da-

wał co chciał, do niczego się nie widząc zmuszonym.

Wojewoda drgnął — zbladł, ale uczucie npadku swojego, który poczuł ukrył, bo się go sromał. Gorycz tę połknąć musiał i strawić w sobie.

Siwa głowa opadła na piersi. Tak więc on oddawał całego siebie, życie, cześć — wierność swą, niepodległość do jakiej nawykł, a w zamian zyskiwał tylko jedno — spragnionej zemsty nasycenie.

Krew której się miał napić winna mu była starczyć za wszystko..

Uśmiechnął się do siebie sam.

— Zemstę — zemstę będę miał, pomyślał, choć ją okupię drogo...

Mistrz Luder który już rozmowę za skończoną uważał, a był z niej i z siebie rad, z rozjaśnionem czołem przystąpił bliżej do wojewody i tonem łagodnym, poufalszym przez Petrka go rozpytywać zaczął, troskliwie niby — czy rodzinę swą uprowadził, czy bezpiecznym był od króla i królewicza że zawczasu myśli jego nieodgadną.

Na to wojewoda mrucliwie, krótko, nie bardzo chętnie, pół słowy tylko dał odpowiedź zbywającą.

Oświadczył zarazem iż długo tu zabawić nie może i widzianym by być nie chciał, — zatem upewniwszy się o miejsce na które się ma stać, natychmiast mistrza pożegnać musi.



Chciał potem wznowić mowę o tem co uparcie przymierzem nazywał, lecz Luder powtórnie zbył go słowy ogólnemi, a co przykrzejsza, okazał cię pewien nienfności, jak gdyby do zrozumienia dać chciał, iż ten co jednego zdradza i drugiemu może słowa nie strzymać.

Musiał i to przełknąć wojewoda, udając jakoby nie rozumiał, westchnienie z piersi mu się wyrwało.

Jeszcze rozmawiali, gdy Luder wychyliwszy się ku kompanowi za drzwiami nań oczekującemu, rozkazał podać wino, i jedzenie, nie mogąc gościa, który widzianym nie chciał być, prowadzić do wspólnego stołu.

Wszystko było obrachowanem tak, aby do uczt królewskich nawykłemu Winczowi, który sam zamożnym był panem, okazać zakonu bogactwo i wspaniałość. W trzeciej izbie stał już nakryty obrusem szytym, zastawiony srebrnemi naczyniami pozłocistemi, szkłem weneckiem, miedzianymi pułkami i misami — stół od którego zapach silny korzennych przypraw zdala czuć było.

Tu Luder wprowadził gościa zapraszając do posiłku przed podróżą. Sam on, do kubka nalewając tylko nieco pigmentu, do ust go przyłożył za zdrowie wojewody.

Petrek się chciwie, nóż dobywszy z za pasa rzucił na jadło, Wincz nie oprócz wina nie tknął, chleba kawałek skruszył i zadumany pił tylko.

Posepność gościa który miał odjechać z bolem w duszy, musiała nie być miłą mistrzowi, gdyż zmuszając się do wesołości, usiłował go w lepszy humor wprowadzić. Trudne to było zadanie. Dopiero gdy o królu Łoktku, o synu jego, o głośniejszej historii na dworze Karola Roberta mówić począł, zapowiadając iż w obec Jana króla czeskiego, który razem polskim się zwał i był, Władysław utrzymać się nie potrafi — usta się rozwiązały wojewodzie.

Namiętnie przeciwko królowi występować zaczął, wysmiewając się i odgrażając nań.

Całe tam Łokietkowe życie przeszło przez gryzące zęby człowieka, który temu królowi wszystko czem był zawdzięczał, owe boje początkowe młodzieńcze, zchwałę, szczęśliwe i niefortunne, ubóstwo, prześladowanie, — wojskowe hasanie po kraju, pokuta, wygnanie; — powrót, walki... a wszystko to co się na najpiękniejszy obraz niezmordowanej pracy składało, w ustach Wincza było przedmiotem szyderstwa i najczarniejszych potwarzy.

Mistrz Luder, który nie siadał do stołu, ani jadł z niemi, słuchał rozumiejąc po troszę; ale nie potakiwał. Jako Krzyżak nienawidził on npar-tego Łoktka, który zakonowi dokuczał i przed papieżem go skarżył, a Pomorza broniąc, opanować nie dawał, ale od dawna słysząc o nim i patrząc nań, miał dlań poszanowanie jakie ka-

żda wytrwałość i meztwo obudza nawet w nieprzyjacielu.

Petrek tylko jedząc i pijąc czuł się w obowiązku uśmiechać i podnosić co mówił wojewoda aby mu się przypochlebić, niekiedy naprędce tłumacząc mistrzowi co dosadniczsze ustępy z wykrzykiwań Wincza.

Przeszła tak chwila dość długa, wojewoda spojrzał w okno i ruszył się z pożegnaniem, widząc że dłuższym pobytem nie już tu nie zyszcze, czując że był jak w zasadzkę wprowadzony, i schwytyany, z małą lub żadną korzyścią dla siebie.

Przy pożegnaniu też gdy mistrz wielce był uprzejmym, wojewoda rozstawał się z nim z dumą i wyraźną jakby obrazą. Sam sobie był winien — nie było już na to ratunku.

Gdy sami znaleźli się w korytarzu zwrócił się nagle do Petrka, który nie zdawał się nczuć jego rozumieć ani podzielać.

— Daj cię pioruny biły, ciebie coś mnie tu wprowadził, zawołał, z temi lisami w mniszych sukniach i zbrojach razem, w kapturach a przy mieczach, djabeł nie dojdzie sprawy.

Petrek osłupiał.

— Samiście chcieli z nim rozmowy! wykrzyknął zdziwiony.

Wojewoda ramionami ruszył i począł kłąć.

— Głupim był — mówił idąc — trzeba ich było do mnie sprowadzić, a inaczej by się gadało.

— Z nich żadenby do was nie pojechał.

— A! bo rozumniejsi są odemnie, zawołał Wincz, a nadewszystko zimniejsi, gdy tu we mnie kipi wszystko! kipi! wre! Ha! stało się! Jeszcze mnie całego w ręku nie mają.

To mówiąc korytarzami zwrócili się ku podworcom, w których konie ich i ludzie stali ukryci.

Widok tych wielkich przestronnych placów wśród twierdzy wielce teraz był ożywiony. Zwykle dosyć puste, napelnily się przybywającemi coraz z innych burgów zakonnych rycerzami, sergentami, pachołkami, czeladzią i wozami.

Wyprawa przeciwko Polsce, po rozejmie gotowała się całemi siły zakonu popartego przez przybyłych z zachodu gości; szeroko miano rozpuścić zagony, i po drodze warowne grody zdobywać, aby się w nich sadowić samym, lub nie dać ciuronić nieszczęśliwemu ludowi.

Przybory więc widać było niezmierne, mogące dać pojęcie z jaką straszliwą wojną na polskie posiadłości runąć mieli Krzyżacy, spodziewając się Łoktka przestraszyć, osłabić i uczynić sobie powolnym, a pomścić się za jego skargi do papieża wnoszone.

Wojewoda stanął zdumiony tym ogromem przyrządów wojennych, które zepchnięte stały w podwórcach jedne przy drugich, dziwne jakieś przedstawiając rusztowania, windy, drabiny,

belkowania, w których lesie trudno się rozpoznać było.

Wszystko co dawniej znanem było i używanem przy obleganiu zamków, i co teraz wynaleziono na zachodzie, a zaledwie używać zaczęto — Krzyżakom służyło.

Od 1328 roku mieli oni już moździerze długie, z sztab żelaznych spajanych obręczami, i śmigownice, znali użycie prochu i kul ognistych. Gotowali się właśnie przerażać niemi polskich kasztelanów, i palić zamki których oni bronili. Wszystkie one prawie naówczas drewniane jeszcze były, rzadko gdzie jaki kawał muru się znajdował, a od podkładanego ognia broniła ich nalepa gliniana. Łatwo więc było zapalać dachy i odarłszy ściany ogień pod nie podłożyć.

Oprócz moździerzy i żelaznych działek, z którymi jak z tajemniczemi narzędziami kryli się Krzyżacy — widać było w podwórcach ogromne Bleydeny, Wippy do ciskania kamieni, Balioty na kołach, liburny, drabiny i haki.

Większe z nich których za wojskiem ciągnąć było niepodobna, rozbierali cieśle na wozy, inne na czółna składano do przewozu.

Okolo nich kręcił się mnogi lud szwargoczący po niemiecku — i nadzorcy stali rozprawiając co brać, co porzucić i jak zabierać.

Ciekawy Petrek, który już tu sznurkował

wprzód i podglądał, prowadząc wojewodę, wśród tego lasu, kędy drogę sobie utorować nie było łatwo — zawiódł go umysłowie do miejsca, gdzie nowe przybory do wyrzucania ognia i kul kamiennych stały osobno pod strażą. Tu najwięcej też się ludzi skupiało opowiadając o cudownej sile jakiegoś czarnego proszku, którego parę garści starczyło by ogromną kulę, którą ludzi kilku zaledwie podnieść mogło, cisnąć na nieprzyjaciela...

Opowiadano sobie że pobożny jakiś mnich, zabawiający się robieniem lekarstw i różnych eliksirów, za przyczyną patronów świętych, ten straszny ogień wynalazł, aby on służył przeciwko poganom na chwałę Bożą.

Uczeńsi utrzymywali iż robiono go z siarki, soli jakiegś i węgla, i że pobożny też Albertus Wielki, mnich w Kolonji znał już tego ognia siłę i jej używał...

Wincz mógł zdala przypatrzeć się niepozornemu żelaznemu działu i na wozie złożonemu moździerzowi... Postali, poruszyli głowami, a że tu na nich krzyżacka służba z nieufnością parzała, w prędkę musieli odstąpić i szukać ludzi swoich i koni.

Te przygotowania do strasznej wojny, której skutki znał dobrze wojewoda, choć ona do pomśzczenia go przyłożyć się miała, — zachmurzyły mu czoło bardziej jeszcze.

Któż kiedy w pochodzie strzymał zwyciężkich Krzyżaków, jeśli się im poszczęściło, a z bezbronniemi mieli mieszkańcami do czynienia?? Wincz wiedział że i jego ziemie, dwory, poddani, jeżeli się na drodze znajdą, poszanowanemi nie będą.

Wszędzie kędy przeszedł zastęp krzyżacki, zostawała po nim pustynia, zgliszcza i nawet Bogu poświęcony kościół, ni klasztor się nie ostał. Nie brali niewolnika, wycinali w pień..

Z Tatarskiej niewoli okupić się było można, z pod miecza krzyżem naznaczonego nikt żyw nie uszedł...

---

### III.

Gdy sprawiwszy poselstwo swe Florjan Szary z Surdegi nad Pilicą, wyszedł ze dworu wojewody Wincza, szukając sobie' noclegu krótkiego, bo się wnet nazad ze sprawą do swojego wodza Hebdy do Sieradzia chciał pospieszyć — Włostek prawa ręką wojewody zastąpił mu drogę i ofiarował się izbę ukazać, zapraszając na kubek miodu, do pościeli zwykle wychylany, dla snu lepszego.

Czynił to w myśl pana swojego, a może z rozkazu.

Szary, który do rozmów wesółych, do pogadanek żartobliwych cale nie miał ochoty, w kubku też pociechy nie zwykł był szukać, choć troski miał dosyć na głowie; — grzeczną ofiarę pułkownika przyjąć musiał, lecz milcząco, na swój sposób, spokojnie i chłodno.



Zaszli do osobnej izbiny, gdzie już i ogień znaleźli naniecony i dzbanek gotowy i łoże posłane, a przez pacholka Florjanowego opończą jego i skórą narzucone.

Przysiadł się Włostek, żołnierz od dzieciństwa, wychowanek wojewody, służka powolny zręcznie usiłując Florjana wybadać, z ciekawości niby, jakie tam i gdzie siły król zbierał i kędy miał iść z niemi.

Florjan, choć podejrzenia najmniejszego o knującą się zdradzie mieć nie mógł — instynktem a po trochę i naturze swej posłuszny, niebardzo się wygadywał. Składał się niewiadomością swą, że go dopiero teraz Hebda z domu wyrwał; że nie wiele co było mu wiadomo.

— Tyle wiem, — rzekł, — że król bardzo pilno zbiera ludzi, a i Węgrów zaciężnych będzie miał, i Litwa mu się też posilkować przyobiegała.

— No, to siły dzięki Bogu, znaczne zbierze, — mruknął Włostek — ale takich też na Krzyżaków potrzeba, bo ludzie bardzo mocni są i także nie sami. Za plecami ich i król Jan i Niemców siła...

Nie znalazłszy w Szarym żadnego popędu do rozgadania się przy kubku, bo mu tylko pół słowami odpowiadał i zdał się jakby znużonym i sennym, co po podróży dziwném nie było — Włostek nie bawiąc tu nadaremnie, dobrego snu życzył gościowi i wyszedł z izby.

Szary sam pozostawszy ciężko westchnął, począł odzież na sobie zwalniać, pas zdjął, i przybierał się do łoża, naprzód pokłękłszy na modlitwę. Ród to bowiem był pobożny bardzo i w bojaźni bożej chowany.

Miał pokleknąć—gdy od drzwi coś zaszelpotało. Myślał pan Florjan w początku że w kominie ogień się ruszył usiadając i odwrócił ku niemu, patrząc by głównia na podłogę się nie stoczyła — gdy w ciemnym kącie, dojrzał kogoś stojącego i jakby skradającego się ku niemu.

Kto by to mógł być—zrozumieć było trudno... Wsliznął się dopiero ostrożnie drzwi uchyliwszy człek ten, cały otulony opończą, której kołnierz wysoko mu stał napięty do koła głowy i zakrywał ją całkiem prawie.

Stapał noga za nogą tak, aby chodu jego słychać nie było...

Nie mógł wszakże złodziejem ani napastnikiem być, bo oko w oko patrzył na Szarego i znaki mu ręką dawał, aby milczał.

Ziemiański nasz, wielce był zdumiony:

Doszedłszy do granicy tej gdzie się ciemność kończyła, a blask od komina poczynał, stanął ów tajemniczy przybysz i palcami znaki dawał Florjanowi by się ku niemu przybliżył.

Coraz więcej zdumiewał się Szary, co to oznaczać miało.

W mroku człeka rozpoznać nie było można,

i on téż nie chciał pono się bardzo ukazywać. Był wzrostu nie wielkiego, krępy, czapkę miał nasadzoną na czoło, i kołnierz prawie do niej dochodzący, tak że ledwie ślepią widać było, gdy migały.

Nie zawahawszy się i nie pomyślawszy nawet o wzięciu miecza, który już odpasał i na pościeli położył, Szary podstał do dającego mu znaki.

Zbliżywszy się tuż twarzy nie rozeznał, lecz głos posłyszał stłumiony, a szparki.

— Kiedy ci król miły i wiernyś sługa jego— chodź...

I nagle poczał chwyciwszy go za pętlę u sukni... Chodź!

— Dokąd?

— Mało ztąd, mało, gdziebyśmy się bezpiecznie rozmówić mogli.

To mówiąc zawrócił się nieznajomy człek, wysunął przez drzwi oglądając za siebie—i jakby go co tknęło jeszcze, rzekł Florjanowi.

— Okno wprzód zasłońcie, aby nie podpatrzono że was w izbie nie ma.

Szary zaciekawiony posłuchał rady, choć całej tej osobliwej tajemnicy nie rozumiał, ani po co go z izby wyciągano.

Zakłęcie — jako ci król miły — wiele poskutkowało, bo całym plemieniem owi z Surdegi, jak znaczniejsza część Sieradzian do Łoktka byli przywiązani.

Z izby wyszedłszy omackiem musieli po sienach iść, aż w bezpieczniejszym kącie jakimś — prowadzący stanął, za suknią ujął Szarego i do ucha mu się chyląc szeptać począł.

— Pan Bóg cię tu miłosierny przyprowadził, wszak Hebda królowi wierny, a i wy?

— A komuż byśmy sprzyjać mieli, — odmruknął urażony niemal Szary — o to i pytać się nie godzi.

— Słuchaj że, i bądź posłuszny, — ciągnął dalej głos drżący, w którym Szary mężki, silny, ale stłumiony poznawał. — Pan Bóg cię tu przyprowadził... Pan Bóg! Sam on! Miłosierdzie jego...

Nad królem wisi straszna zdrada — ten, ten którego on zrobił wielkim i potężnym, ten pan wojewoda Wincz, zły że mu dla młodego pana odebrano rządy — zemstą się pali, — idzie do Krzyżaków z całą swą siłą i poprowadzi ich na królewskie grody.

Spokojny dotąd i chłodny Florjan rzucił się oburzony.

— Na imie Chrystusowe! to nie może być! kto? wojewoda.

— Psyt, milcz — począł drugi, ciągnąc go za suknię. — Ja ci to pod przysięgą zeznaję, jak Boga oglądać pragnę. Prawda jest... Ja należę do wojewody, jam w jego rękę, gdyby się domyślał że go wydaję jutro by mnie obwiesić

kazał, *na stan niezważając* — ale sumienie mam, ale pobożnego króla starego bronić muszę...

Czas jeszcze aby nieszczęściu zapobiedz można. Jedź... jedź naprzód nie do Hebdy ale do Poznania do młodego pana, do Kazimierza, ten o niczem nie wie... a pod nim ogień podkładają — potem w skok do Hebdy, aby staremu panu dawał znać...

A niech się wam nie roi, że wam lada kto po ciemku baśń do ucha włożył... Bogiem się klnę — prawda to jest...

Zdyszany szybkim mówieniem nieznajomy mąż tchnął nieco — a Szary stał coraz więcej zdumiony, aż mu się w głowie zawracało.

Nie wiedział czy miał wierzyć słowom i przysięgom — obawiał się jakiegoś podejsścia, aby go na złe nie użyto. Pomimo zakłęb nie chciał wierzyć, aby ten wojewoda, z którym niedawno mówił, a o którym wiedział że zdawna mu król ufał i całą tę wielką Polskę zdawał na niego — miał pana swego haniebnie zdradzić.

Słyszał o tém że Kaźmierza do Poznania z żoną wysłano, ale nie zrozumiał jakby urzędnik miał zazdrosnym być o należną królewicowi władzę.

Milczał więc w niepewności wielkiej i rozdarty na poły między obawą łatwowierności lub niedowiarstwa.

Mówiący odpoczął chwilę i nie doczekawszy żadnej odpowiedzi, odezwał się do Szarego.

— Rozumiecie mnie? posłuchacie?

— Rozumiem ci, — odparł Florjan, — ale żebym spełna już wiarę dawał — nie powiem. Widzi mi się to nie podobném do prawdy, a może mściwém...

— Człeczcie! — przerwał głos groźny — nie mogę ci powiedzieć kto jestem, bo życie ważę, ale klnę ci się przenajświętszą krwią Chrystusową... Słuchaj... Kapłan jestem, ksiądz jestem... Nie ważyłbym takiego słowa co na szali jak kamień zawisnie, gdybym nie wiedział iż prawdę w sobie zawiera.

Florjan milczał... Większe miał teraz poszanowanie dla tego z kim mówił; poczuwał się do należnego posłuszeństwa.

— Cóż mi czynić każecie? — spytał.

— Powtórzę ci, do Poznania mi ztąd jedźcie do samego młodego pana. On o niczém nie wie, do ostatniej chwili się niczego nie domyśli...

Zdrada go otacza, wojewoda ma u jego boku swoich ludzi. Żadnemu wierzyć nie można okrom Trepki. Powiedz mu to, i niech się na ostrożności ma... Niech lepiej do ojca i do wojska jedzie z Nekandą, a nie siedzi w Poznaniu.

Długo się na tę zdradę zbierało, długo Wincz z sobą się rozpierał — ale już paskudny wrzód

w nim dojrzał, już. Rozkazy wydane, on sam pewnie z Petrkiem Kopą do Krzyżaków pojedzie.

Z Poznania, albo do króla starego z tém słowem jedź, lub do Hebdy... dokąd bliżej, gdzie staniesz prędziej, znać dawaj, a spiesz — a leć!

Żywa dusza jeszcze nie wie o tém, co się knuje, oprócz zauszników wojewody — król bezpieczny rachuje na posiłki z Wielkopolski, a one przeciw niemu pójdą, przeciw niemu... I ziemię naszą wezmą Krzyżacy niepoczeiwi, i wy i Łoktek zginie!!

Choć w ciemnościach twarzy mówiącego dojrzeć nie mógł Florjan, z głosu drżącego poruszenie wielkie i niepokój odgadywał...

Jeszcze raz bojaźliwie, po cichu spytał.

— Więc — do Poznania?

— Nie mówiąc nikomu — dodał nieznajomy — nikomu... Nie nocuj tu długo, każda godzina droga...

To rzekłszy pocałował go nazad do izby prowadzić nieznany człek, do drzwi jęj dowiódł i rękę mu położywszy na głowie, szepnął po łacinie.

— *Benedicat te Deus!*

Szary chciał go w rękę pocałować, ale obróciwszy się już tylko szmer odchodzącego posłyszał.

Po cichu więc wsunął się do izby w której ogień był przygasł i jak stał na pościel się

rzucił nie żeby spał, lecz by spoczął i rozmyślił się.

Do jego własnych ciężkich trosk przybyła mu teraz nowa, a nad nie straszniejsza...

Nie o jednego tu człeka szło, ale o tysiące, a najbardziej o tego starca króla, który całe przewalczywszy życie, nie zaznawszy spokoju; nie wzięwszy za trud swój zapłaty, z siwym włosem, ze starganemi siły stał teraz znów u brzegu przepaści, nie wiedząc o niej.

Litość wielka zdjęła mu serce dla pana tego, który tylu miał już nieprzyjaciół, a tu mu własny sługa miał się stać wrogiem.

Twardej natury, nigdy do łez nie skłonny Florjan — o mało nie zapłakał.

Nie było tu co już do snu się kłaść, bo znużony mógł ranek zaspać, zatrwożył się—pierwsze kury już słyhać było.

Przyłożył parę polan na ognisko — zadumał się...

Pilno mu było przed wyprawą zajrzeć do domu, ależ stokroć teraz pilniej do Poznania, do królewicza z językiem...

Wiedział jak stary król jedynaka swojego miłował, bo na nim całą rodę swego złożył nadzieję i przyszłość, a tam temu ukochanemu zdrada już uknuta zagrażała...

Spieszyć więc musiał a baczny być...

Wszystko to w sobie ważąc, Szary ucha na-



stawiał rychłoli drugie kury zapieją. Dzień jesienny wprowadzie nie rychło miał nadejść, lecz przypomniał sobie iż resztką księżyca ostatek nocy mogła oświecić.

Szło tylko o to aby w tym dworze i nieznanych szopach, wśród natłoku ludzi, konie swe i czeladź znaleźć po nocy, nikogo nie budząc i na siebie oczów nie zwracając.

Piały drugie kury, gdy Szary podniósł się z pościeli, czapkę wdział, miecz na wypadek wszelki przypasał, bo bez niego nocką w obcym miejscu, wyjść nie było bezpiecznie i wysunął się z izby, szukając drzwi, na podsienie.

Starym obyczajem wszystko tu stało otworem, w podwórcach się spodziewał wychodząc znaleźć sen i ciszę — lecz, zdumiał się bardzo mocno, gdy stanąwszy u wielkich drzwi i wyglądając ku wodopojowi i szopom postrzegł między ludźmi wojewody ruch wielki... Po za studnią rozpalone było ognisko i ludzie się około niego jak ćmy kręcili. — Noc w istocie jak się spodziewał, nie bardzo była ciemna, dostrzegł więc że niektórzy na koń wsiadali i ruszali się już w drogę, drudzy w podwórzu konie wiedli... inni nie śpiąc przy ogniu czuwali.

Z postawy człeka który przeciw płomieni stojąc jak czarny cień się wydawał; zdało się Florjanowi iż Włostka poznawał.

I jemu więc tém bardziej czas było w drogę.

Nie myśląc długo posunął się ku szopom aby czeladzi się dobudzić, o której wiedział z doświadczenia że sen miała twardy.

Szczęściem dlań pachole jego zaniepokojone tym nocnym ruchem, który we dworze panował, nie spało i poznawszy kroczącego pana podbiegło ku niemu z pod szopy. Konie nakazawszy natychmiast siodłać, Szary spokojniejszy do dworu powrócił, przyodział się jak należało i w prędkie zabrawszy co miał, do przedsieni wyszedł czekać.

Bardzo mu o to szło aby jego wyjazdu tak pospiesznego nie dostrzeżono, lecz było to prawie niepodobieństwem. Musiał więc wręście konia dosiadłszy powoli ciągnąć i nadchodzącego Włostka pozdrowić, rad że mu się bez przeszkody za wrota wydobyć udało...

Drogi do Poznania nie pamiętał wprawdzie, ani o nią mógł pytać, aby podejrzenia nie obudzić — instynktem więc ruszył ode dworu w prawo, choćby miał pobłądzić, postanowiwszy rychło u ludzi nie badać o gościniec. Musiał się na łaskę bożą spuścić i na oślep ciągnąć po nocy. Księżyc przekrojony już na pół, kawałkiem mu przyświecał po troszę aż do dnia.

Ku lasom się zbliżał, gdy i pierwsze brzaski na niebie się ukazały. Z niemi też i ludzie w polu musieli się zjawić, pastuchy z bydłem, a później z radłami i bronami rolnicy.

Pustą jednak wydawała mu się okolica i ży-

wego ducha w niej, oprócz stad wron i kruków nie znalazł, które zobaczywszy jak od złych proroków się przeżegnał.

Był już na skraju lasu, gdy nareszcie człeka zobaczył zdala o kiju kroczącego. Spostrzegł go daleko wprzód nim on się widzianym być spodziewał.

Mężczyzna, wydał mu się silnym i rośłym, chociaż o kiju szedł i podobnym był ze stroju, lachmanów i torby do żebraka.

Lecz, gdy Szary właśnie się mu przyglądał— stał się cud— ów żebrak wnet się zgiał, zgarbił, zmałał, na kiju począł ciężko opierać i wlec tak noga za nogą, jak gdyby ledwie mu na to sił stawało.

Bystre miał oko Szary i ta nagła odmiana nie uszła mu, lecz że ubogich siła się takich włoczyło jeszcze: wróżbitów, śpiewaków, nędzarzy, a ci się często schorzałemi czynili aby litość obudzić — tak to sobie Florjan wytłumaczył.

Bacznie jednak wpatrywał się w żebraka, który tym samym przeciwko niemu szedł gościńcem.

Widać teraz było że głowę miał z karkiem przekrzywioną, a krzyże jakby złamane, choć niedawno przysiągł by był Szary że go prostym zdala ujrzał.

Zwolnił koniowi kroku, bo się u żebraka o

drogę chciał popytać, i na równi z nim stanąwszy, stanął.

Żebrek się pokłonił rękę wyciągając, podniósł też nieco i głowy; o ile mu kark pozwalał. Oboje twarz i ręka jakoś się dziwnemi zdały Szaremu. Twarz miał białą i rysów nie dziadowskich, oczy wielkie i mądre, rękę nie zapracowaną... Tylko usta wykrzywione, z wargą dolną jakby na umyślnie odwaloną, nadawały mu wyraz znękanego i cierpiącego... A oczy jakby u kogo innego pożyczone, patrzyły.

— Dobrzeć jadę do —

Tu Szary się pomiarkował i zmienił pytanie.

— Dokąd prowadzi ta droga, bom obcy?

Dziad się począł mu przypatrywać nie spiesząc z odpowiedzią, a gdy się na nią zebrał zabrzmiał głos jego dziwnie. Polską miał mowę, ale nie prostych ludzi i dźwięczącą jakby z obca.

— Droga? — powtórzył — droga — toć do Poznania ona... A wam, miłościwy panie dokąd trzeba?

Florjan się zamyślił.

— Do kata! — zawołał, nie do Poznania mi... A no, co robić... Nawrócę dalej, gdym zbłądził.

Sparłszy się na kiju dziad stał i z oka nie spuszczał jeźdźca.

— Wyście tuteczni? — pytał Florjan.

— E! z całego świata! — mruknął dziad...

Kto z torbami chadza domu niema i wszędzie mu dom byle łom!

Westchnął.

Florjan z kalety dobył pieniążka i rzucił mu go na tę dłoń białą. Nie ruszał się żebrak, nie jechał Szary.

— Rozpowiedźcież no mi dokąd ja zajadę tym gościńcem? — począł.

— A toć droga wojewodzńska, co ją wyjeździł pan Wincz, ludzie prawią — zamruczał dziad. — Jam tam nie świadom.

Panisko też nie tuteczny — mówił, — pewnie od wojewody po sprawie posłany, bo on słyszę w Pomorzanach?..

Szary zmilczał rozmyślając, i nie odpowiadając, wołał sam rzucić pytanie.

— Po świecie co tam słyhać?..

— Co? jak nie mór, to głód, jak nie głód, to wojna, — prawil żebrak — a teraz coś ludzie bardzo na wojnę prawią! Nie daj Boże...

Jak się pierwsze sioła zapala, pójdą wszyscy w lasy...

Krakają już krucy, krakają aż wykrakają...

W końcu z nienacka rzucił znowu dziad ciekawy.

— Panko nie do Poznania...

Florjan gniewnie ręką zamachnął.

— Gdzie zaś!

— To nawrócić trzeba! nawrócić! — rzekł dziad...

— Wprzódę gospody muszę szukać i popaść — mruknął Szary — z Bogiem!

I wyminął żebraka...

Ten stał skurezony... a gdy Szary go za sobą zostawił, zwrócił się, powoli prostować zaczął, i gdy go już nie widział, kark mu się odgiął i krzyże — zrobił się chłop silny, z szyderskim uśmiechem na twarzy... Żywym krokiem ciągnął wprost do Pomorzan.

Florjan wjeżdżał w las gdy mu pacholę szepnęło.

— Toć dziad złodziej czy co — z za pazuchy mu świeciło coś schowanego jakby ze złota...

— Tobie aby mosiądza kawał za złoto świeci, krzyżyk na sznurku musiał mieć od uroku...

Chłopak nie rzekł nic lecz głową potrząsał.

W las wjechawszy a drogi swój pewien będąc, poprawił się na siodle Szary, konia ścisnął i obróciwszy do czeladzi aby nie zostawała w tyle, z kopyta ruszył.

Słońce weszło na szczęście podróżnemu wesołe i jasne, mgły jesienne rychło w dół pospadały co było dobrym na pogodę znakiem, pajęczyny świeciły po polach jak srebrem zasnute, dzień się zrobił taki jakby chciał wiosnę przypominać — tylko ciepły do zbytku.

Jechali też krajem którego dawno wojna nie

tknęła, choć lesistym, lecz tu i owdzie osiedlonym i znacznie przekarczowanym, na ścierniach się trzody pasły i ludzie na widok podróznego nie bardzo odeń uciekali.

Okolo południa trafiła się i gospoda z szopą, gdzie koniom było można dać spocząć, i napoić je. Do Poznania już nad wieczór się spodziewał dociągnąć Szary, myśląc teraz jak ma się na zamek dostać, aby wśród tych zdrajców, o których go przestrzegano, poznanym i odkrytym nie był, a do królewicza mógł trafić.

Przystęp pewnie trudnym ziemianinowi żadnemu nie był, lecz z czem się miał opowiadać, aby się nie odkryć — sam nie wiedział.

Człek był pobożny, gdy mu własnego nie stało wątku, obyczaj miał iż do Boga o pomoc wzdychał, a ta mu nigdy potem nie chybiła.

I na ten raz też myślał sobie że byle do miasta się dostał, i na zamek potrafi...

W tych myślach ku wieczorowi, gdy już wedle rachuby swej o jaką milę albo i mniej był od miasta, a wieczór tak śliczny mu sprzyjał, że i droga się nie dłużyła, — wjechał do lasku i zwolnił kroku.

Gościniec się nim wił sobie pomiędzy drzewy, jakby z ludzi żartował, coraz to łączkę zieloną, to rzeczulkę było widać, to skupiony gaik gęsty, to rozpiezchłe drzewa stare, co się poroźbiegały od siebie, szeroko gałęzie rozpościerając.

Lubo jechać mu było, więc nie spieszył.

W tём gdy tak jedzie, ucha nastawił, zdala go śpiewy doleciały, pomieszane z wesółemi śmiechami. Poznawał głosy kobiece...

Słyszał nieraz Szary ludowe pieśni i słuchać ich lubił, a że młodszym będąc nietylko Sieradzkie, Łęczyckie, Kaliskie, ale Krakowskie i Sandomierskie zwiedzał okolice, i różnego polskiego wieśniaka znał zawodzenia, choć po troszę od siebie różne, a jednak do siebie podobne — zdziwiło go to że pieśni, które go dochodziły i nutą i językiem były odmiennym nucone...

Slicznie one brzmiały, tęskno, marząco, słodko.. ale obco...

Dotąd jednak śpiewających nie mógł dostrzedz podróźny.

Dopiero gdy się droga zakręciła nagle, musiał aż konia strzymać, bo tuż, tuż osobliwy orszak nadciągał, jakiego w życiu nie widział, i nawet wyśnić było trudno, a zrozumieć kto tak jechał śpiewając i po co, trudniej jeszcze.

Przodem na siwym, małym, ładnym koniku jechała piękna pani. Konik na pół był okryty szkarłatną oponą ze złotemi brzegami i kutasy, rząd na nim świecący złocony, miał wielki guz złocisty także, na piersiach, na głowie czub, a pod szyją wiszące sznury pąsowe ze złotem.

Jadąca na nim, z podniesioną do góry główką kobieta, włosy miała jak len jasne w kędziorach



spadające na szyję, a po nich spływające do koła twarzyczki, na ramiona; zasłonę białą po brzegach szytą złotem.

Suknia na nią jasna, poprzepasywana i bramowana, szyta wzorzysto, obcisła, okryta była płaszczykiem lekkim fioletowej barwy, który więcej ją stroił niż osłaniał. Wesola to była i szczęśliwa jakaś istota, śmiały się oczy jej, usta, rumiane lice, gładkie czoło. Śpiewała z takim zapalem, tak samą swą pieśnią szczęśliwa, jakby dla niej największą było rozkoszą nucić i słuchać piosenki.

Za nią na koniach, na wozach i pieszo szły dziewczęta w zielonych wiankach rucianych, pobierane białe, poprzepasywane i postrojone kwieciami, tak rozśpiewane jak pani, towarzyszące jej głosami i uśmiechy.

Kilku starszych mężczyzn, jakby na straży jechali konno, a młodsze pacholęta szły przy koniu pani, uzdy jego pilnując.

Ona bowiem sama, cngle szkarłatne zarzućwszy na rękę, na żwawego konika zważała mało, a siwy, wypasiony wierchowczyk miał fantazji wiele, głową rzucał, pobrykiwał, zżymał się — chciał swawolić. Naówczas jeden z chłopaków idących przy nim chwycił żwawo za uzdeczkę zmuszając go do posłuszeństwa i spokoju.

Orszak to był wesoly, i jakby weselny, a na twarzach kobiet, które pięknej jasnowłosej towa-

rzyszyły, widać było że troski żadnej nie znały, światu się radowały i pani swój nie miały przyczyny obawiać.

Coraz to która wyrwała się z orszaku za kwiatkiem, za zieleńszą gałęzią, popychały jedna drugą, a wśród śpiewania gziły się i zaczepiały, rozbiegały, gonily i przypadały aż do koni i wozu.

Wśród tego różnobarwnego zastępu, bliżej samej pani i siwego konika, postępowało, a raczej szło skacząc, wyprawiając jakieś sztuki, rękami wywijając i prawiąc coś głośno, z czego się drudzy śmieli — dwóch ludzi osobliwie przybranych.

Jeden z nich, bardzo małego wzrostu, w obcisłem odzieniu, trzewikach z bardzo długimi nosami, z brzękadłami u pasa, z pałką w ręku, do której jak cep przyczepiony był ogon lisi, w czapce śpiczastej, pstrój, — miał twarz długą, żółtą, z bródką chudą i czarną...

Drugi jeszcze przysadzistszy, gruby jak kula się toczył. Niepomierne otyły, z twarzą okrągłą, bez zarostu na niej, suknie miał naszywane w różne figury fantastyczne i kawałkami materji jaskrawych.

Ci dwaj, których obowiązkiem zdawało się być zabawiać swą panią — odwracali się ku niej, patrzyli jej w oczy, dopominali się o uśmiech, popisywali przed nią. Gdy im brakło conceptów, wzajem się drażnili, stawali do boju niby, rzu-

cali pocieszenie, a dziewczęta przypatrujące się im pękały ze śmiechu.

Mężczyźni jezdni, którzy stanowili straż, bardzo wytwornie byli postrojeni na sposób cudzoziemski, ale mało zbrojni. Widoczném było że się nie daleko wybrali i zbroi wkładać nie potrzebowali.

Chociaż otaczało ich wesele i śpiewy brzmiały do koła, jechali poważni i niemal nasepieni, — jakby z przymusu i obowiązku.

Duszą całego orszaku była młoda i żywa pani, która i sama śpiewała i wesołością swą, wejrzeniami, drugich pobudzała, zmuszała aby jej radość dzielili.

Jadący naprzeciw Szary, zobaczywszy tę dziwną gromadkę rozśpiewaną, którą wziął z razu za jakieś wesele, dopiero przypatrzwszy się jej baczniej i nie widząc ani marszałka, ni drużbów, ni ręczników — przekonał się iż się omylił. Tym więcej jeszcze dziwił się temu zjawisku i oczy wlepił w śliczną panią, której różowe usteczka otwarte, białemi ząbkami się śmiały, a oczy niebieskie zdawały we łzach rozkosznych roztopiać.

Zsunął się z drogi na bok ustępując orszakowi Florjan, i domyśliwszy się że pani dostojną być musiała, głowę przed nią skłonił. Wszyscy towarzyszący jej, bacznie zwrócili oczy na Szarego, obcego w nim poznawszy... Szczególniej straż konna przyglądała mu się, a on który też

między nią twarzy znajomej szukał, znaleźć nie mogąc.

Oprócz tego że na wojenne wyprawy chodził gdy zawołano, pan Florjan po dworach i w stolicach rzadko bywał, ludzi znaczniejszych znał mało. Nie wielką też miał nadzieję napytać tu kogo dla języka, gdy jeden z jadących za orszakiem zbliżył się doń i pozdrowił go po nazwisku.

— Wszak Szary ze Surdegi? — zawołał, — jeśli mnie nie mylą oczy.

Ucieszył się wielce p. Florjan, bo mu się to zdało opieką bożą iż znajomego znalazł, choć poznać go nie mógł.

— Nie poznaliście Beńka Gozdawy? he? — ozwał się śmiejąc jezdny. Tożemy przecie rany sobie zawiązywali na ostatniej wojnie!!

Florjan aż krzyknął z radości, nie że człowieka znalazł, ale że mu się właśnie Beńko trafił, z którym pobratymcami byli od krwi razem przelanej.

---

## V.

Usunął się Beńko nieco, gdy orszak przeciągał i stanął przy Szarym z boku.

— Z kimże to jedzicie i co to za zabawa jest! — szepnął Szary. — Patrzę ja — ale nie wiem i nie rozumiem nic. Cóż to, czy swadźba, czy wesele? gdzież druhowie i pan młody?

Beńko ramionami ruszył.

— Toście to nie słyszeli i nie wiecie? — zapytał.

— A zkądże i co wiedzieć mam! — rzekł Szary, — jam zakuty doma...

— I nie domyślacie się kto ta pani? — śmiał się Beńko.

— Nie wiem, ani się domyślam — rzekł Szary.

— Ale słyszeć przecież musieliście, że młody nasz syn królewski Kazimierz ożenił się z księżniczką litwinką. Toć to ona jest, nasza przyszła,

dali Bóg królowa, po swojemu zowiąca się Al-doną, a po chrzcie świętym Hanną...

I nie czekając odpowiedzi Szarego ciągnął dalej.

— Widzicie jaka wesola pani jest. Bo to młode i życia chce używać. Nasi księża do rozpacz z nią doprowadzeni, bo by z niej jaką Salomeę lub Jadwigę uczynić chcieli, a tu na nią sposobu nie ma. Pomodli się zrana w kościele, a potem skoczy do dziewcząt swych i już się pieśni litewskie rozlegają po całym zamku. Bez śpiewania i śmiechu ta ptaszyna żyć nie może.

Ot co widzicie, my na to codzień patrzym... A że jej na zamku strach księży, w pole wyciąga z dziewczętami, aby śpiewać swe pieśni litewskie.

Nieby to nie było — tylko że nasi duchowni ani w ząb tego śpiewu nie rozumieją i bardzo się trwożą iż nieochybnie tam rzeczy pogańskie ich, litewskie tkwić muszą...

Chcieli królewiczównę innych pieśni uczyć, pobożnych — nie sprzeciwiała się im, ziewała tylko srodze, ramionami ruszała, i do swoich powraca, bo powiada, że nie ma jak te jej litewskie pieśni.

Szary milczał, i dla niego te śpiewy w języku pogan, dla Polaków niezrozumiałym, wielce podejrzane były.

— To jeszcze młode bardzo, — mówił dalej

Gozdawa — na pół dziecko... ale z czasem obyczaju naszego się nauczy...

— Hm! — rzekł Szary, — a do czegoż jej ci dwaj służą blaznowie co przodem przed koniem kroczą?

— Rzekłeś sam, — rozśmiał się Beńko, — blaznowie są. Jeden co po prawej ręce z lisim ogonem, to nasz prawy po polsku blaznujący, z Krakowa rodem, zowią go Lisicą — ten że jej niebardzo do smaku, więc drugiego, tego opasłego barylę z Wilna sobie ściagnęła, a zowią go, jakoś tam z litewska: *Keleweże*.

Szary głową pokręcił.

— To i dziewczęta pewno litwinki być muszą? — zapytał — bom pieśni słuchając nie zrozumieć nie mógł?

— Są między niemi i Krakowianki i tuteczne z Poznania — odparł Benko — ale najwięcej litwinek, bo te tylko jej pieśni umieją śpiewać, a ona bez nich by nie wyżyła...

— Królewicz w Poznaniu? — spytał rzucając na Beńka wejrzenie bystre, Szary...

— Jest — rzekł Gozdawa — ale się do ojca ciągnąć wybiera, bo wiecie że do wojny się sposobią. Trzebaż mu n boku króla być.

Po krótkiem milczeniu, chętny bardzo do rozmowy Beńko dodał.

— Może się naszemu Kazimierzowi na wojnę i nie bardzo chce, choć mu pewnie na mężtwie

nie zbywa, ale on jakoś w tych krwawych bojach, w których myśmy zrośli, nie smakuje.

Powiada zawsze że dużo w domu jest do roboty, a czas by pokój mieć, aby lepiej u siebie pogospodarować...

— Dziwna to rzecz — odezwał się Szary, że po ojcu nie wziął ochoty do wojny, bo król od dziecka nie robi nic ino wojuje...

— Tak, aleć bywa nieraz że właśnie po skąpym następnie rozrzutny, a po marnotrawnym oszczędny... może i my pana miłośnika pokoju dostaniemy po Łokciu...

Tu dopiero Beńko, jakby sobie przypomniał, o co mu najpilniej pytać było, zwrócił się do Florjana i rzekł.

— A wyż tu do nas, z czem i po co? boć to wy czasu nie zwykliście marnować i pewnie was Hebda zabierze na wyprawę,

Szary się trochę z odpowiedzią strzymał, nie wiedząc z razu czy całą prawdę rzec, czy przez pół, czy skłamać... Sprawa była ważna i lada-komu się jej zwierzać nie godziło. Nie wiedział czy Beńko, choć do Kaźmirzowych sług się liczył, do wojewodzińskich przyjaciół nie należał. Wolał więc wybadać go nieco i rzekł.

— Jam do pana Wojewody był posłany...

— Ale go w Poznaniu nie masz — odpowiedział Gozdawa — podobno ze złości i gniewu do swoich Pomorzan uciekł.



— Za cóż gniew? — patrząc nań zapytał Szary.

— Długoby opowiadać — ramionami ruszając prawil Beńko. — Król tu posadził mu pod boki syna, a w ostatku, jak słuszną, żeby się młody do rządzenia zaprawiał dał mu wielko-rzady, które Wincz długo piastował... Łatwo to zrozumieć iż Wojewoda spadłszy z tronu, rozsierzdził się...

Żli ludzie nawet prawią, czemu ja nie wierzę — dodał Gozdawa — że wojewoda gotów... przeciw królowi pójść.

— Straszaby to była rzecz, pod ten czas... uchowaj panie... bo Wincz ma z sobą niemal wszystkich ziemian Wielkopolskich.

Szary teraz już był pewien, iż z Beńkiem otwarcie mówić może.

Orszak królewiczowej śpiewający, oddalił się był nieco i podniesione tylko głosy dziewcząt dochodziły ich, zostali sami.

— A nie trzeba wam z panią waszą ciągnąć — spytał Szary — żebym was nie zatrzymywał?

— Musu w tém niema — odparł Gozdawa. — Dla bezpieczeństwa zawsze kilku nas towarzyszy jej, gdy wyjeżdża, ale jednym mniej lub więcej, nikt nie zważa.

— A niemoglibyścież ze mną do Poznania? — szepnął Szary, — bo prawdą a Bogiem, mam

sprawę ważną i bez was mi się ciężko obejść będzie.

Spojrzał Gozdawa nań...

— Czekażcie — zawołał — skoczę ja do starszego do pana Włodka i opowiem mu się... a potem cię poprowadzę...

— Ale ani Włdkowi ni komu o mnie, ani o żadnej sprawie, ni słowa — wtrącił Szary żywo. Powiedziecie że... przyjacielaście napytali.

Głową skinąwszy tylko Beńko, skoczył konia naparkszy ku orszakowi i w mgnieniu oka już nazad był.

Nie było już co się z prawdą drożyć — począł Florjan opowiadać co mu się w Pomorzach trafiło, i z czém go posłano...

Zasepił się Gozdawa wielce.

— W samą porę przybywacie, — rzekł — abyście poparli to, czego się już wielu domyślało i lękało. Ale o sprośną zdradę, choćby kto się dowąchał, strach obwinić takiego człeka znacznego jak wojewoda. Pan Bóg was tu zesłał... Że się coś kłuło koło nas i kłuje i że tych tu-tecznych Wielkich Polan dużo na nas krzywo patrzy, a za wojewodą ciągną, myśmy to czuli...

Musimy z tém nie wprost do królewicza, ale naprzód do Nekandy Trepki, którego mu król dodał... poważnego męża i roznmnego, który będzie wiedział co począć.

I żeby zdrajcy, których pełno u nas jest, nie

domyślali się czego, nie bardzo was będziemy pokazywali. Staniecie gospodą na mieście u mojego znajomego Wilczka... który śliczną córkę ma...

Szary się poruszył.

— A dajcież mi pokój z najpiękniejszą dziewczuchą, przecież wiecie żem żonaty i moją Domnę miłuję nad życie... a nawet dla jej miłości cierpię...

Gozdawa się śmiać począł.

— Albo to co przeszkadza pięknej dziewczce w oczy zajrzeć?... — zawołał. — Tyle człowiek w życiu ma co tych kwiatków choć powącha.

— Z was bo bałamut zawsze był, a jam człek stateczny — odparł Szary.

— No — i żonie waszej krzywdy czynić nie chcę — rzekł Beńko — ale bezpieczniejszej i lepszej gospody jak u Wilczka dla was nie znajdę. Jak będzie koło was przechodziła Marychna, to se oczy przysłonicie.

Wilczek dom ma na samem Podzameczu, a że do niego dużo przyjaciół zajeżdża, więc i na was nikt tam zważać nie będzie.

Rozmawiając tak zbliżali się do miasta, którego kościoły i przedmieścia już widać było... Szary trochę twarz przysłonił, a Beńko uliczkami pomniejszych go prowadząc między ogrodami i opłotkami, gdzie się mniej ludzi kręciło, prawie

nie narażając na spotkanie dowiódł do owego Wilczka zapowiedzianego.

Zamożny to był mieszczanin, który byłem handlował, choć sam już rzeźnikiem nie był. Mówiono o nim, że pieniądze znaczne miał, lecz tego po sobie nie dawał poznać, i ludzie miarkowali tylko z domu, który sobie wystawił, a którego mu zazdrościli.

Ten to dom bardzo obszerny powodem był częstych odwiedzin różnych ludzi u Wilczka.

Gospód naówczas porządných po miastach tak jak nie było, zwyczajem zaś powszechnym że panów i ziemian mieszczanie u siebie ugaszczali. Czasem się to podarkiem lub groszem zawdzięczało, czasem gościnność daremną bywała. Każde lepsze domostwo w mieście, czasu wielkich zjazdów gości miało.

Wilczek gospody właściwie nie trzymał otwartej, lecz w dużym domu gość mu nie ciążył, a mówiono iż na dole wynajmował izbę na szynk komuś i z tego zyski ciągnął.

Na biedę zastali koło Wilczka i ludu różnego dosyć i wozów i koni jezdnych, tak że Beńko się uląkł czy Szarego potrafi umieścić, lecz w progu zaraz zobaczył ową piękną Marychnę, n której łaski miał i do niej przyskoczywszy, a cicho z nią poszeptawszy, Szarego z ludźmi do sieni wprowadził.

Marychna w istocie piękną była wedle wyma-

gań ówczesnych, i wyobrażeń o piękności. Mało co wzrostem nie była równą z Beńkiem, a zbudowaną jakby zbroję nosić miała. Silna, czerstwa, rumiana, ciemnooka, zręczna, gibka, nie potrzebowała się lękać nikogo, bo nie lada męczyzna sprostął jej mocy.

Wesołą też była i rozmówną... Mileżącego Florjana wwiiodła sama do izby, rada się rozpytać zkąd był i co wiózł, ale Szary mało czém ją zbywszy, opowiedział się znużonym i na ławę legł, czekając co mu przyniesie Beńko...

Przeciagnęło się prawie do nocy, nim Gozdawa powrócił oznajmiając mu że Trepka nań czeka.

Szli więc na zamek.

Tu już się wszędzie świeciło, bo i królowiczówna powróciła ze swej wycieczki z dziewczętami, i królewicz był na zamku.

O ile mrok dojrzeć dawał, dwór młodego pana wydał się Szaremu wcale różnym od tego, który starego Łoktka otaczał.

W Krakowie gdy gości miał przyjmować stary pan naówczas, prawda, nie szczędził niczego, i ludzie u dworu wspaniale wyglądali, ale powszedniego czasu skromnie było i ubogo.

Królowa i on nie zapominali że tułaczami byli i jedli podczas chleba czarny często łzami polany. Teraz im też prostota była najmilszą.

Na starość też Łoktek i żona jego pobożnemi

się stając, umyślnie się odzieżą i życiem umartwiali.

Tu zaś nie po staremu wyglądało przy młodym panu.

Służba była z cudzoziemska strojna, obcisło pstro, włosy trefione, łańcuchów, kaletek, nożyków, pasków, kutasów na niej podostatkiem.

Starsi dworacy w jedwabiach, a czeladź kręciła się z jakąś swobodą i rażnością, która nie wielkiej surowości i karności dowodziła. W pod-sieniach i na gankach niewieścich sukienek kręciło się dużo i śmieszki było słyhać wieczorne.

Wesołym był zamek, jakby za najlepszych czasów — i jakby mu nie nie zagrażało.

Nekanda Trepka mieszkał niedaleko od komnat królewicza, więc do niego iść musieli aż pod same gmachy pańskie pełne wesołej młodości, światła i woni korzennego jadła i napoju.

Starął się Szary aby mało go kto widział, a zabawiający się dwór nie bardzo nań uwagę zwracał.

Czekał na nich poważny ów Trepka w komnacie niewielkiej, po rycersku przybranej w wojenne rynsztunki.

Maż był lat średnich, na którym wojenne rzemiosło poznać było łatwo, trzymał się prosto, twarz miał marsową, zarosłą — oblicze poważne i myślące. Mruczkiem go zwali ludzie, bo mówił mało, lecz do rady był i do sprawy tak pewnym,

iż się nań i stary król i każdy co go znał mógł spuścić a spać spokojnie. Dla tego, zawsze o syna jedynaka trwożący się Łoktek, Nekandę mu dawał za towarzysza i doradcę.

Trepka już uprzedzony we drzwiach przyjął Szarego, wyzywając by mówił z czém przybywał. Mimo meztwa widać było po nim trochę niepokoju.

Szary rozpoczął obszerną relację o swem poselstwie, o pobycie w Pomorzanach, i o tem co mu się tam przytrafiło; mocny na to nacisk kładąc, że ów nieznany człowiek, który mu o zamierzonej oznajmywał zdradzie, mienił się duchownym, więc wiara mu większa mogła być dana.

Żeby zaś kto pod owe czasy, kapłanem się miał czynić, nie będąc nim — tego nie przypuszczano nawet.

Trepka raz i drugi sobie powtórzyć kazał przestrogę ową i wysłuchawszy opowiadania — rzekł:

— Dawnom to wróżył. Już mi tu wojewodzie z oczów źle patrzyło. Z królewiczem łagodnym i uprzejmym, szorstko się obchodził, po za oczami i uszy naszymi wygadywał wiele, pono się i odgrażał... Znać było że się nie pogodzi z tém co mu przeznaczono. Ale król nasz stary omylił się w tém że mu wielkorządy odbierając i województwo, nad wojskiem władzy nie wziął.

— A coby to pomogło? — odparł Beńko przytomny rozmowie. Jego władza nie w tём, że on wodzem się mianuje, lecz że lat tyle rządząc ludzi sobie zjednał i Nałęczów a ich powinowatych, których tu jak piasku jest, będzie zawsze miał po sobie. Z trwogi od nich i drudzy pójdą.

Jeszcze chwilę na badanie Szarego obróciwszy Nekanda, wyszedł zobaczyć, czy do królewicza przystęp był wolny, chciał bowiem zaprowadzić Florjana, aby jemu opowiedział co przyniósł.

Za czem sieniami ciemnymi do pańskiej komnaty wwiódł Trepka posła.

Tu było na co patrzeć, bo choć gmach zamkowy stary się wydawał i więcej ku obronie jak dla wymyślnych wygod zbudowany — tak go umiał sobie przybrać i przyozdobić królewicz, iż komnaty które zajmował, prawdziwie królewsko wyglądały.

Na podziw tylko, jak na owe czasy mało widać było oręża, a ten który po ścianach gdzieś niegdzie był rozwieszony, więcej się odznaczał wytwornością i pięknnością, niż mocą i był więcej na występ niż do boju przeznaczony.

Tarcze i szyszaki wschodnie które królewicz z sobą z Węgier poprzywoził, złotem były sadzone i czarnymi listewkami,<sup>1</sup> jakby kamiennymi dziane.

Na stołach księgi widać było i pargaminy,



naczynia osobliwych kształtów, w smoki, gryfy i różne stworzenia powyknwane.

Obrazy też na złotych dnach wisiały na ścianach.

Na kobiercach i obiciach nie zbywało, bo całe ściany niektóre sztytemi szpalery były poodziwane, na których lowy i zabawy różne, w rozkosznych gajach i panów a panie jakby żywe z ptakami lowczemi na rękach, konie i psy widać było.

Od sklepienia zwieszały się pozłociste świeczniki, gdyby w gałęzie i liście porozrastale.

Młody pan stał już czekając na zapowiedzianego ziemianina, w stroju jaki za dnia nosił, bo go jeszcze zrzucić nie miał czasu. Obcisłe ubranie spodnie, pasem ujęte, na wierzch okrywała jakby opończa dostatnia aksamitna, jedwabiem podbita, z rękawy rozkrojonemi, które długo się zwieszały.

Piękna twarz, włosom w pukle się zwijającym otoczona, z oczyma śmiałemi, rysów szlachetnych i wyrazistych, więcej tym co ją znali za młodu, królową matkę niż starego Łoktka przypominała. Lecz było coś i ojcowskiego w czole i wejrzeniu rozumném a nieuleknionem...

Co mówiła ta młodociana jeszcze i wszystkiemi młodości pożądaniami ziejąca twarz — tego sobie Szary wytłumaczyć nie umiał. Poczul tylko dla niej poszanowanie i znalazł w niej dobroć i ła-

godność, której się nie spodziewał, a wielką ochotę do życia i wiarę w siebie.

Choć królewicz wiedział już że mu nie dobrą niesiono wiadomość wcale się nie zdawał nią zatrzwożony... Oczy tylko błyskały ciekawością rozbudzoną.

Szary mu się do kolan skłonił, gdy królewicz prędko go podnosząc zagadnął.

— Coście w Pomorzanach widzieli?

— Więcejem, miłościwy panie, słyszał niż widziałem — odezwał się Florjan, — i to mnie trwoży że mi twarzy ukazać nie chciało.

Począł więc rozpowiadać o tajemniczej przestrodze...

— Że wojewoda na króla i na mnie gniewny — rzekł Kaźmirz wysłuchawszy — to i my wiedzieli, lecz żeby się miał przeciwko nam z Krzyżakami wiązać, ledwie do wiary!!

— Miłościwy panie, — przerwał Nekanda — lepszy ostrożności zbytek, niż ufność zbyt uczynna. Trzeba się na pieczy mieć...

— Jedźcież z tém wprost do króla JMci, — rzekł królewicz — jedźcie a pospieszajcie. Powiedźcie mu że ja też wprędce ku niemu ciągnę, bo na zamku siedzieć nie mogę, gdy wiem że on siwą głowę swą nastawia na nieprzyjacielskie ciosy...

— Król JMość — odezwał się Trepka — nie życzył tego... Nie wiele my mu tam pomożemy

a uchowaj Boże klęski — niechby nam pana nie zabrakło, bo nas rozszarpia.

— Ja tu nie usiedzę! — zawołał żywo Kazimirz — musimy iść, musimy!! Widzicie też że bezpieczeństwa większego na zamku nie będzie niż w polu.

Wojewoda tu za długo siedział, by sobie ludzi nie zjednał... Nas tu jak ryby w saku mogą pobrać...

— Nie dalibyśmy się — odparł Nekanda — a idąc, miłościwy panie, z kimże pójdziemy? Musimy z sobą właśnie tych tutejszych Wielkopolan ciągnąć, którzy nas w polu dla wojewody zdradzić mogą.

Królewicz potrząsł głową.

— Z dwojga złego, wolę w polu być i z ojcem, niż tu siedzieć i czekać, a nękać się próżnowaniem...

Zwrócił się do Szarego...

— Wy — rzekł — do króla z tém pospieszajcie, bo my bez niego sobie rady nie damy, ani byśmy śmieli się na co ważyć. Powiedzcie mu od nas, że i my po wojewodzie złego się spodziewaliśmy, że i Trepka dawno go podejrzewał...

Rozmawiali jeszcze, gdy boczne drzwi rozwarły się nagle, opona w nich podniosła, śmiech się dał słyszeć wesoly, i na tle ciemnem ukazała się postać jakby cudem zjawiona — młoda pani

w sukni białej, z włosami na ramiona spuszczo-  
nemi, z piosenką i śmiechem na ustach...

Nie miała już na sobie stroju jaki ją zdobił  
w wycieczce za miasto, ale cienkie i lekkie rąbki,  
które kibić jej rysowały wiernie... Nad czołem  
tylko za całą ozdobę, we włosy wpleciony sznur  
albo raczej przepaska złocista, je utrzymywała.

Weszła śpiewając, zobaczyła obcych, ręką po  
nad głową pottrzymała chwilkę ciężką opone,  
rozśmiała się wybuchem śmiechu dziecinnym; —  
zasłonę opuściła i znikła...

Kaźmirz który zwrócił głowę w tę stronę,  
rozśmiał się także, i krok uczynił ku niej, lecz  
już jej nie było...

Szary się żegnał...

Wyszli natychmiast z komnat pańskich, a Beń-  
ko wprost ztąd powiódł towarzysza swego do  
gospody Wilezka.

Pan Floryan chciał tylko się przespać nieco  
i ze dniem puścić znowu w drogę. Nadto ważne  
wiózł wieści by mu pilno nie było... Na spoczy-  
nek wszakże rachował przedwcześnie, bo Beńko  
mu nie chciał go dać, zapraszając jeszcze do  
siebie na wino. Nie można było odmówić...

Sieradzanin Grzmot Hincza dopytawszy współ-  
ziomka, przyplątał się do nich trzeci.

Było to zawsze w polskiej krwi, iż od kupy  
nie rada się oddzielała, a gwarzyć lubiła, musiał  
więc Szary, choć nie pijał wiele, zasiąść za stół

i słuchać gadek wesołych, sam po troszę do nich pomagając.

Beńko był niewyczerpanym i usta mu się nie zamykały...

Więc na Wielkopolan za grzechy Nałęczom wymyślano co wlażło, w czém Grzmot, który ich nie lubił, bo mu dziewczka jednego Nałęcza odkosza dała — téż dopisywał dobrze.

Część nocy tak przesiadzieli ani się obejrzawszy, i gdy Florjan się nareście zrywać począł do gospody, aby zawczasu ruszyć — już na zamku wrota były zawarte i klucze odniesione.

Posłano mu więc słomy w izbie Beńka, i gdy Grzmot podpiwszy wyszedł, rozpowiadali jeszcze długo różne stare dzieje.

Nie było już co spać, Florjan tylko czekał aby wrota ze dniem otwarto. Zbierało się na dzień, gdy w podwórzu ruch jakiś robić się począł i Beńko narzuciwszy kożuch poszedł się dowiedzieć o jego przyczynę, bo w téj porze był niezwykle.

Jak poszedł tak przepadł. Szary się już przyodział i do gospody mu pilno było, a tu Gozdawy doczekać się nie mógł.

Byłby go już kłął, gdyby nareście poruszony wielce i zdyszany nie wpadł Beńko.

— A co? — krzyknął od progu — a co? prawdzi się coście przywieźli... Posłaniec którego Nekanda jeszcze po za wczoraj, nie dowierzając

wojewodzie, wyprawił na zwiady, w tej chwili z językiem powrócił. Sprawny człek!!

Zbudzili Trepkę — i powiada że wojewoda z tym łotrem Petrkiem Kopą do Krzyżaków już pojechali w swaty.

Wojewodzina, słyhać, pobiegła za mężem, u nóg mu leżała i zaklinała aby zdrady nie poczynił, nie nie pomogło...

Dobka sobie Nałęczu sprowadził, ale ten, jak nasz człek ręczy, wypowiedział mu posłuszeństwo..

Wszystko to królowi masz zawieść, bo teraz już wątpliwości nie ma że Wincz z Zakonem się sprzęże... Niech Król radzi...

Tu Beńko przerwał sobie nagle.

— Radzić! co tu radzić! jabym ludzi posła póki czas, wojewodę ujął i ściąć dał — była by rada...

— I wszyscy Nałęczu mszcząc się za niego, dopiero by się zawzięli! — odparł Szary.

— I to prawda — rzekł Beńko, — ale gdybyśmy ich miodem posmarowali lepsi nie będą.

Szary już dłużej czekać i wytrzymać nie mógł, ruszył co najśpieszniej do gospody, od sieni wołając na czeladź, aby mu konie dawano.

Z brzaskiem też był już za miastem i po kościołach na jutrznie dzwoniono, gdy się na gościnniec wybił.

Ranek był mglisty i wilgotny, choć nie bardzo zimny...

Pacierze zacząwszy odmawiać i kaptur zaciągawszy na głowę, zadumany włókł się p. Florjan, gdy o małą może milę będąc od miasta, posłyszał tentent za sobą.

Tknęło go to. Pomyślał sobie iż na zamku Nałęczu swoich mieli, podsłuchać mogli, a na nocnej biesiadzie Grzmot i Beńko całę ostrożności nie byli. Nuż zwąchano z czém jedzie i co do króla wiezie, nuż pogoń za nim puszczo?

Sromął się tego podejrzenia... ale mu dolegało tak iż się oprzeć nie mógł, dał więc pociachu ludziom znać i z drogi zjechawszy w gąszcz stanęli.

Ledwie się w nią umieścili, tuż po nad gościńcem, gdzie ich dla krzaków i gęstej mgły widać nie było, gdy tentent się zbliżył i głosy słyszeć dały...

Nastawił ucha...

Po stąpieniu konia i mieniających się głosach poznać mógł, iż ludzi co najmniej pięciu lub sześciu być musiało...

Rozmawiali głośno pokrzykując...

— Patrzaj śladów...

— Kto ta w błocie świeże ślady dopatrzy o mroku.

— Ale przecież byśmy go już nagać byli powinni!

— Konia ma dziarskiego ten Sieradzianin juha, a że mu pilno z językiem... nie żałuje go,

— Stary Łokieć zapłaci...

— Wiele ma czeladzi?

— A kto ich liczył...

Mijał go tak, Fłorjan się przeżegnał panu Bogu dziękując. Co miał robić, sam teraz nie wiedział. Był już pewien że Nałęcz za nim gnali, na zamku wieczorem podsłuchawszy...

Stać i czekać ażby ta pogoń się zawróciła — czasu była strata znaczna, za niemi jechać, niebezpiecznie.

Musiał więc na drzewa i korę popatrzwszy, aby się bardzo nie obłąkać, puścić lasem bez drogi, w imię Boże.

Miał ci tę wiarę pocziwą, starodawną, że w sprawie tój, której służył Bóg musiał mu pomagać i nie da mu się w lesie zgubić...

Nakazał czeladzi milczenie, przeżegnał się krzyżem świętym, konia ściągnął, kaptur naciśnął — i — w las.



## VI.

Dzień był smętny, jesienny, dżdżysty gdy po przyspieszonej podróży dniem i nocą, niepewnemi drogami, zbliżył się Florjan Szary pod Kraków, i zdala mury miejskie a kościelne wieże i kopuły ujrawszy, przeżegnał się pobożnie, Bogu dziękując że go tu całego doprowadził. Nie tyle mu szło o własne życie i zdrowie, bo rycersko służąc wiedział że je co godzina niemal narażać musiał — jak raczej o wiadomości które królowi wiozł, bo te pilno dlań i dla Polski całej były potrzebne.

Rozradowało mu się oblicze, zwykle dosyć posępne, gdy się ujrzał już pod samym grodem, pewien będąc że poselstwo swe sprawi.

Gdy się rozglądał około miasta, którego dawno nie widział, a po okolicy, piękności się jęj dziwując, prawie u samych murów na równinie,

dostrzegł wielkie ludzi zbiegowisko, albo coś na kształt obozu...

Ruch tu panował wielki, jakby targowicę za bramy wyrzucono... Stały porozbijane namioty płócienne, wozów siła, gdzieś na drągach jakby chorągwie powywieszane i wiechy... Kręciło się ludzi jezdnych i zaprzęgów różnych dosyć i pieszego ludu.

Sądził z razu Szary iż w dzień targu musiał nadjechać, albo świąteczny, o którym nie wiedział, choć kalendarz jak każdy ziemianin, na pamięć umiał; gdy na drożynie zetknął się z jadącymi zbrojnemi, którzy siano wieźli i sami na wierchowych koniach, objuczeni niém jak kopice siana wyglądali.

Pozdrowiwszy jednego z nich, spytał Florjan — co tu tak tłumno i gwarno dnia tego koło miasta.

— A z kądżeście wy? — odparł chłop który sianem tak był obłożony, że mu nad niém tylko głowa i hełm sterczał, — z kądżeście wy że o niczém nie wiecie?

— Jam trochę z daleka, — rzekł Florjan.

Ów z sianem przypatrywał się mu bacznie.

— Jakby Florjan z Surdegi! — zawołał.

— Jam ci jest! — rzekł żywo Szary — a wy?

— A mnie toście dla tego siana nie poznali chyba, lub i zapomnieli. Nieraześmy się w Sie-

radziu spotykali na zjazdach... Jam ci Janik Trzaska...

— A! prawda! — zawołał wesoło Szary, — przebacz że...

Trzaska był ziemianinem z nad Pilicy téż nie majątnym, ale bardzo zabiegliwym. Starego rodu rycerskiego człek, z konia prawie nie zsiadał, w domu nie długo miejsca zagrzewał i tak się na siodle losu dobijał a dobić nie mógł. Znali go wszyscy z téj ruchawości i pracowitości, przez które dotąd nie oprócz guzów nie mógł napytać.

Nie zrażało to Janika, śmiał się sam z tego że szczęścia nie miał. Ubogi był ale wesół i ludzie go miłowali.

— Widzę, — począł Janik wystawując nieco głowę z tego siana, które miał do obu boków uciepione, — widzę, że wy Surdęgi nie pilnujecie, a gdzieś się włóczycie po świecie...

— Nie po dobrój woli! — westchnął Szary.

— Jać to i sam miarkuję, takbyście żonki nie odjechali, — śmiał się Janik.

— A wyż tu co robicie? — zapytał Szary.

— Jam tu, jak widzisz, nie sam jeden... — mówił Trzaska — ze wszech stron król ściąga ludzi. Kto żyw... Zamek pełen, miasto pełne, ażeśmy się za bramy wylać musieli i obozujemy tu... Na wojnę się znowu zbiera, i pewnie na srogą. Powiadają że Czech na nas ciągnie z jednój, a Krzyżak i kawałek Brandeburga z drugiej

strony, i pewnie Szlązacy... I Bóg raczy wiedzieć kto jeszcze. Bo jak się na wojnę zbierze, nigdy jednej nie dosyć...

Krzyżakom pono posiłki z całego świata idą.

Naszemu staremu Łokciowi, nie dadzą spocząć ni się zdrzemnąć. Taka już dola jego żeby nigdy pokoju nie zaznał!!

— Król na zamku? — zapytał Szary.

— Gdzie? — rozśmiał się Trzaska — jego na zamku, w mieście i wszędzie pełno. — Stary, zdawało się że już ocieężał—ale! trzeba go teraz widzieć! Taż to ma bodaj lat siedemdziesiąt, a taki krzepki i na siodle cały dzień, dla niego jak drugiemu na posłaniu...

— Na toć go Bóg widziecie stworzył, — odezwał się Szary, żeby on z tych skorup Polskę zlepił... Ubożuchny, mały człek, sam jeden jak palec, a korony się dorobił... Wypędzali go tyle razy... przecież się ostał. Nie jest że to znak że mu sam pan Bóg pomaga i tego chce co i on??

Trzaska się uśmiechnął.

— Dobrze mówicie! prawda to jest! dla tego ja se myślę, że i teraz choć na nas Czechy idą, Brandeburgi, Krzyżaki te i niewiem jakie djabły— a on im, z panem Bogiem rady da.

Trzaska dla owego siana, które wioził że mu niezgrabnie jechać było i bał się go gubić, choć

powrozami było obmotane, jechał dosyć powoli; Florjanowi pilno było, musiał więc go pożegnać.

— Pilno wam! — spytał Janik.

— Bardzo, bom posłany do króla — rzekł Szary.

— Nie daleko go wam szukać, — odparł Trzaska, oto tu pod bramą w obozie go pewno znajdziecie, bo sam ludzi opatruje... Mało nie cały dzień od jednej jeździ kupki do drugiej, tak się jakoś troszczy... biedaczysko!

Byli już od wrót i murów nie daleko, gdzie się obozowisko poczynąło.

Tu jak w samym mieście gwarno wyglądało bo też co było przekupniów a lekkiego ludu w Krakowie do obozu się cisnęło dla zarobku i rozpusty. Baby powystawiały pod kramami ławki, poosłaniawszy je płachtami, chłopcy nosili w koszykach różną drobną kupię wołając a krzyząc. Jaskrawo poprzyodziewane niewiastki jakieś kręciły się między namiotami. Kuźnią nawet na uboczu przemysłny kowal pod szatrą postawił i żołnierskie szkapy podkuwał.

W niektórych szalasach słychać było pijatykę i śpiewy, a próżne beczki wyrzucone precz świadczyły że nie próżnowano. Z wrot lał się lud miejski, a w drugą stronę do grodu cisnęli się żołnierze, tak że w tłumie tém o przejazd trudno było...

Szary musiał się nieco wstrzymać, rozpatrując

którędy najłatwiej wjedzie i czeladzi przykazawszy aby się nie dała odbić od niego — gdy zdala Trzaska nań krzyknął i palcem mu coś ukazywać począł w śród obozu.

W miejscu tém na które oczy obrócił Szary, rozpoznać było można orszak jezdnych, dosyć pokazny... ale więcej nie.

Domyślił się jednak Florjan, że chyba i król tam być musiał, a zawróciwszy konia i torując sobie drogę między szalasami — wprost już skierował się w tę stronę. Po drodze mu wskazano w istocie iż król tam był.

Lecz nie rychło go mógł dojrzeć, bo orszak dokoła otaczający go ukrywał. Widząc mozolnie się tak przebijającego Trzaska, który siano zrzucił swej czeladzi, podbiegł ku niemu pieszo...

— Jeżeli króla wam pilno się dobić—począł, — oto go macie... Podle niego ten brodaty, czarny to Prandota kasztelan, oto ten siwy, duży wojewoda Mikula Pilawita... a ten dzielny, szeroko pleczysty Żegota z Morawicy chorąży krakowski, innych nie znam.

A — otóż i król...

Gdy to mówił rozstąpili się jakoś towarzyszący królowi i na koniu grubym a dużym mały pan się pokazał, opończą szeroką od sloty okryty, po nad którą wyłaczany hełm górą sterczał... Można ztąd było dojrzeć żółtą, pomarszczoną

twarz jego posępną i siwe włosów kosmyki co ją otaczały.

Szary, który dawno króla nie widział, a mało i zdala tylko dawniej go widywał; ciekawie wlepił oczy w to oblicze, które przy tylu innych i piękniejszych i okazalszych, czémś nieopisanem nad wszystkiemi górą brało.

Wśród tysiąca ludzi oko by się na nim, nie znając go, zatrzymać musiało.

Wypisanem miał na czole że mąż był wielkiego trudu, wielkich boleści i czynów wielkich. Nad czołem jak chmura mu wisiał smutek jakiś i siła potężna... Rozrosłe brwi krzaczyste, ściągnięte do kupy kryły oczy jakby dla tego aby z pomroki błyszczały mocniej. Usta miał zapadłe i policzki...

Przy téj starca twarzy, ciało było młode i obracało się żywo... Nie zmogły go wojny, ale je ukrzepiły. Nie znużony obracał się, patrzył, wskazywał, pytał, — a mówiąc dumał ciągle. Usta były czynne, czoło chmurą okryte co innego rozpamiętywało...

Nie śmiał się sam Szary zbliżyć tak do pana, nie opowiedziawszy, i zobaczywszy na koniu opodał nieco Hebde sieradzkiego wojewodę, od którego wysłany był, pokłusował do niego.

Pomian Hebda nie młody pan, zaschły, zawiedły, opryskliwy i gorączka, kręcił się pomiędzy Sieradzianymi, których z radością ujrzał Szary...

Poznawszy Florjana sam ku niemu konia skierował, i, jak był zawsze impetyczny, wnet krzyczeć zaczął.

— A ty już tu? a co? a z czém? a mówże? poselstwo sprawił? cóż przynosisz?

Szary tym czasem z konia zsiadał i szedł do niego.

Skinął aby się pochylił; na co Hebda się zżymnął zrazu, i począł mu do ucha na prędce odpowiadać z czém go odesłano...

Pierwszych słów zaledwie dosłyszawszy, wojewoda już się z konia zsunął,—zbladły i strwożony.

Nie dając szeroko się rozwodzić Florjanowi pociągnął go z sobą przed króla...

Tu kilka słów szepnąwszy, już Florjana popchnął naprzód i wołał nań.

— A mówże! mów...

Wyrażnego więc rozkazania słuchając Szary, choć mu się zdało że nadto uszów słuchało—począć miał już, ulegając wojewodzie, lecz obejrzawszy się że ludzie się cisną dokoła, i zmiarkowawszy że złe wieści w obóz rzucić, to jak popłoch naniecić — odezwał się do wojewody, iż mu zlecono królowi samemu to zwierzyć...

I ręką wskazał gromadzące się dokoła rycerstwo...

Zmiarkowali wszyscy że miał słusność, a że nieopodal namiotik stał lichy, zgrzebny jakiegoś pułkownika, król podjechawszy doń, z konia



zsiadł i z Hebda razem wszedł prowadząc doń Florjana.

— Miłościwy panie — odezwał się pokłon mu uczyniwszy Szary, — wysłany byłem przez pana wojewodę do Wincza z Pomorzan, abym mn co rychlej się stawić z ludźmi przykazał. Pospieszyłem z tem do Poznania i niedociągnąwszy do miasta, w gospodzie mi ludzie rycerscy oznajmili, że wojewoda czegoś niechętny do Pomorzan odjechał, i że tam go mi szukać.

Więc ja do Pomorzan. Tum przybył pod noc. Zastałem wojewodę z małą ludzi garstką i zarazem poselstwo sprawił. Przyjął mnie jak należało i oświadczył że powinność swą spełni...

Szedłem tedy na spoczynek, gdzie już nocą, nieznajomy człek, mianujący się kapłanem i sługą bożym, pod wielką kłatwą zwierzył mi, zlecając abym o tém królewiczowi i wam dawał znać, że wojewoda z Krzyżakami się znosi, że do nich ma z Petrkiem Kopą jechać, i że w Wielkiej Polsce dla zdrajców Nałęczów ani królewiczowi nie jest bezpiecznie.

Zerwał się słysząc to Łoktek i ręce zacisnąwszy, z taką gorącością, której w nim nie widywano, chyba w bitwach, krzyknął przypadając do Szarego.

— Zdrajca niepoczciwy! Dalżeś memu Kaźmierzowi znać?

— Ztamtąd jadę — odparł Florjan. Król ode-

technął i na swe miejsce, który był na pieńku obrał, powrócił.

Brwi mu się jeszcze mocniej ściągnęły.

— Mów, mów—dodał—wszystko mi mów...

I w tejże chwili wyrwało mu się.

— Samem tego węża na mej piersi ogrzał i wyhodował! Wszystko mi winien był...

Spuścił głowę siwą i powtórzył.

— Mów — wszystko!

Począł tedy Florjan znowu o tym księdzu, potem o podróży swój do Poznania i jak do królewicza był dopuszczony.

— Zdrów jest i nie frasobliwy? — zapytał Łoktek.

— Dzięki Bogu, — mówił Szary... Znalazłem go już uprzedzonym i niedowierzającym, a pana Nekandę przygotowanym do wyciągnięcia w pole z królewiczem, bo tam już o coś Nałęczów posadzano...

Tój zaś nocy, gdy w Poznaniu leżał, przyszła pewna wieść iż wojewoda do Torunia jechał.

— Niepoczciwy! — mruknął król...

Zwrócił się do wojewody.

— Słyszę i wierzę, — rzekł — a radbym wątpił, bo mi srom za niego i za was wszystkich, którym hańbę uczynił. Wincz z Krzyżakami! Łotry te go namówiły, przekupiły, obalamuciły...

Wstał król dla wielkiego bólu prawie już Florjana stojącego nie widząc i nie zważając na

niego. Przeszedł się po namiocie, pogrążony w myślach gorzkich, Hebda milczał, Szary się cofnął aż ku wejściu i czas jakiś dali królowi samemu z sobą się naradzić. Jak przybity w początku ciężar swój dźwigał Łoktek lecz właśnie tak jako człowiek na którego ramiona wielkie brzemie rzuca, a on się pod niem ugnie na chwilę i wnet rozprostuje niosąc je lekko, — król wprędce przyszedł do siebie.

— Ha! — zawołał — nie całaż Wielkopolska z nim chyba pójdzie. — Nie sami tam Nałęczowie. Ze strachu przed niemi powloką się trwożliwi — ale nie wszyscy.

Obrócił się ku wojewodzie.

— Nie przetoż mamy ręce opuścić? — rzekł — Kosztowaliśmy już zdrady — pan Bóg ją karze...

Dopiero Florjana zoczywszy, podstąpił ku niemu.

— Kaźmirzaś widział? powiadasz — począł zapominać się zdając trwogi. — Jakim że był? Smutnym? wesołym? co mówił?

— Chciał do was, miłościwy panie, aby przy was stać i walczyć? Mówił że mu się gdzieindziej być pod ten czas nie godziło.

Łoktek się zatrząsł.

— Kazałem go poprowadzić Nekandzie w miejsce bezpieczne.

— To też i pan Trepka mówił — bo rozkazanie pamiętał, — dodał Szary.

Łoktkowi twarz się rozjaśniła.

— Jeden z nas powinien bezpiecznym być — rzekł, — bo gdyby nas obu nie stało, i Polska przepadnie, czeski Jaszko ją zagarnie jak już Szląsko wziął...

Westchnął stary...

— Młodego potrzeba szczenić, bo on więcej ma życia przed sobą, — ciągnął dalej — ja stary, choćbym padł, szkoda niewielka...

Dosyciem się natłukł i napracował. Spocząć czas, a juściż mi nie w łóżku kończyć...

Uśmiech przesunął mu się po bladych ustach.

— Byle mi się młodzieniaszek nie wyrwał! Byle go tam Trepka uprowadził w miejsce dobre...

Wojewoda Hebda rzekł z cicha, że Nekandzie zaufać było można, człek był stateczny i rozumny.

— Dla tegom ja go przy tym skarbie postawił który mi najdroższym jest — rzekł król cichszym głosem.

Florjan który już poselstwo swe sprawiwszy, czuł się tu zbytecznym, chciał się pokłonić panu i odejść. Wstrzymał go stary pan.

— Słuchaj no, jak cię zową?—odezwał zbliżając się doń... To coś mi odniósł tego innym nie powiadaj. Dowiedzą się i tak zawczasu, a dziś trwogi siać nie trzeba. Język za zębami trzymaj chceszli cały być.

Spytają cię, zkađ, z czém, powiadaj żeś do wojewody jeździł i sprawił co kazano.

W tem Hebda śmiejąc się i po ramieniu bijąc Szarego, zawołał.

— Miłościwy panie, za tego ziemianina jako za siebie samego ręczę, bo lepszego żołnierza u mnie w Sieradzkim nie ma nad niego. Perła to jest...

Szary się nieco pokłonił, a stary król z za frasunku swego uśmiechnął mu się tak jakby słonko z za chmurny błysnęło.

Wyszedł wreszcie z namiotu Florjan, przejęty cały tem że króla widział z blizka i mówił z nim, obiecując sobie że mu to na cały żywot jego pozostanie w pamięci.

Chciał iść do koni swych i czeladzi, aby do miasta ciągnąć i tam jakiegokolwiek gospody sobie szukać, aby spocząć trochę, choć wiedział że o to łatwo nie było.

Lecz ledwie kilka kroków od namiotu odstąpił, gdy się znalazł wpośród znajomych Sieradzian, którym już Trzaska o nim rozpoviedział, a i ten też był między niemi.

Szary i ojciec jego oba mieli wielką u ludzi miłość, — otoczyli go dalsi i bliżsi nawołując.

— Florek — a tyś tu z nami!

— Bywaj do swych...

— Chodź do nas!..

Trzaska go pod rękę ujął...

— Na miłego Boga, — odezwał się trochę zafasowany Szary lękając się aby go nie badano,—

jam z długiej drogi. Na siodle się stłukłem haniennie, ledwie żyw stoję... Nocy nie dosypiałem, więc choć wam rad jestem z duszy, ale mi do siana pilniej niż do ludzi.

A Trzaska na to.

— Gdzież ty myślisz się mościć! Do Krakowa? do miasta. A no tam mysz się już nie wcisnie tak pełno. Niektórzy na poddaszach legają, inni bodaj w rynku.

Gdyby tam przytułek był, już mybyśmy też pod tę słotę cieplejszego kąta szukali.

Wziął go tedy Jarosz Grusza pod drugą rękę i rzekł.

— Ja tu mam namiocik, a i siana wiązka się znajdzie, i przy moich konie postawicie. Chodź. W kociołku się coś skwarzy, a tyś pewnie głodny.

— Chodź! chodź! — odezwało się ze wszystkich stron.

Więc z jednej strony Trzaska, z drugiej Grusza, wzięli go jak swojego i do namiotu wprowadzili.

— Rozdziawaj się ze zbroi — i bywaj jak w domu — rozśmiał się Jarosz. — Wprawdzie dom płócienny tylko, żal się panie boże, ale w naszym rzemieśle gdy i taki nad głową jest Bogu dziękować.

Rozgóścił się Szary, może i rad temu iż swoich znalazł.

Dobry czas upłynął od tego dnia gdy z Sur-

dęgi wyjechał i o domu nie wiedział nic. Korciło go strasznie spytać którego z tych co bliżej mieszkali, czy co nie słyszał o rodzinie. A troskał się nie bez przyczyny, bo tam mola srogiego miał, który go gryzł. Lecz jak z jednej strony pilno mu było dostać języka, tak również się obawiał złej wieści, której przeczucie ścigało go ciągle.

W tej niepewności będąc, postanowił czekać już lepiej — aż się jednemu z nich coś wyrwie, nie wywołując wilka z lasu.

Miał zamiar przed wyprawą, na którą musiał iść, wyprosić się jeszcze, choćby na dzień jaki do Surdęgi.

Trzaska i Jarosz gościnnie go przyjmowali, a Grusza widząc zmarzłym od rannego deszczu, krzyknął zaraz aby mu piwa zagrzano.

Im też pilno było rozpytywać Szarego, co słyszał i widział w Wielkopolsce. Trzaska nalegał zwłaszcza.

— A przywiodą nam z tamtąd ludzi? a ilu?

— Nic nie wiem, — rzekł Szary, — jeździłem do wojewody, sprawiałem co mi zlecono i tyle mi rzekł że powinność swą robi, a ludzi zbierze.

— Cóżś widział w Poznaniu?

Nie było innego sposobu na to naleganie odpowiedzieć tylko się żartem wykręcając.

— Com widział! — odparł uśmiechając się Szary, choć do wesołości żadnej ochoty nie miał.

A no! królewiczównę która pieśni śpiewała... No—i u Wilczka w gospodzie dziewczkę jego Maruchnę, taką że gdyby na nią zbroję wdziać, byłby z niej żołnierz.

— Patrzajcie go! — wykrzyknął Trzaska — coś się waści w drodze stało? Człek co nigdy na niewiasty nie patrzył, teraz ino je widział! Ani go poznać?

Szary się zafrasował drobinę.

— Dalibyście mi pokój, bom ono żyw, jestem tak znużony, że języka w gębie zapomniałem...

— A o Maruchnie pamiętał!—przerwał Grusza. Śmieli się tedy...

Przyniesiono kubek piwa grzanego, lecz gdy je drudzy zobaczyli, że z kminem było i zapach poszedł po namiocie, zaczęli się go napierać. Musiał Grusza cały kociołek kazać nastawić, bo z piwem jak z pigmentem, wiadoma rzecz tylko począć trudno, gdy się zakosztuje, nigdy go dosyć.

Pod namiotem tedy wesoło było, a Szary myślał sobie.

— Dzięki ci, panie Boże, nie muszą o moich wiedzieć złego nic, gdy tak są weseli.

Na uboczu tylko siedział najbliżej Surdegi mieszkający Napiwon,—człowiek kwaśny i skarzyący się zawsze, a zbiedzony.

Na niego poglądał Szary, bo czegoś pośepny wyglądał, lecz nie było dziwu, takim on całe życie prawie bywał.



Milczał Napiwon do kubka tylko zaglądając i cale wesołości nie dzieląc.

— Dawnoście z domu? — zagadnął go wreszcie Szary.

— Ja? — odparł Napiwon (na imię mu było Żegota) — hm! jam się najpóźniej przywłókł — z końmi będę miałem. Człek mi zasłabł.

Westchnął.

Sądził Szary że mu co powie o ojcu i o Surdędzie, ale—ani słowa. Byłby zapytał, strach go brał. Myślał z resztą, gdyby, uchowaj Boże, z tego co było — jużci by oznajmił.

Tymczasem śmiano się i coraz pod namiotem stawało się weselój, a o spoczynku ani tu było pomyśleć.

Trzaska, który kości lubił, szukał już kubka i człowieka z którym by grał.

Grusza zaś że kosterów nie cierpiał przeciwił się.

— Ciskać u siebie kośćmi nie dam,—rzekł,—bo to z tego zawsze w końcu krew musi popłynąć...

Ale piwo z kminem nosili...

Szaremu w głowie szumiało i że zmęczenia i z gwaru.

W tém Napiwon się podniósł z siedzenia i zbliżył do niego. Siadł na ziemi.

— Wyście dawniej z Surdęgi? — zapytał go.

— Mnie się już wiekiem wydaje — westchnął Szary...

Spojrzeni sobie w oczy.

— Spokojnie tam? — spytał Florjan, strzymać się już nie mogąc.

Napiwon zadumał się, ramionami strząsnął.

— A kiedy u was spokój? — mruknął, — dopóki wy Bąka pod bokiem będziecie mieli, spokoju nie zażyjecie.

Szary aż się porwał.

— Mów! splatał już co? — zakrzyczał, a głos mu drżał z gniewu.

Napiwon zdawał się mierzyć słowa, i ociągać.

— Gdyście z domu odjeżdżali, — rzekł, — juści nie mogliście się spodziewać aby on z tego nie korzystał. Na to tylko czekał... Drugiego dnia już Surdęga była jak w oblężeniu... Ludzi pościagał, —

— A ojciec mój? — zawołał Szary.

— Ojciec czuwa, nie bójcie się... — odparł Napiwon. Bydło wam wszystkie zabrali z waszego własnego pastwiska, ale stary zaraz z ludźmi wyskoczył i odbił. Bąk ze swemi napadł na wasz gródek, ale mu dali tęgą odprawę.

— Boże miłosierny, — pot ocierając z czoła — przemówił pomilczawszy Szary — kiedyż ja od tego wroga będę wolnym!!

Napiwon ręką tylko machnął, jakby powie-

dzieć chciał, — że się tego ani mógł spodziewać. Wstał i oddalił się.

Szary został w miejscu jak przykuty, zaszępił, nie słysząc i nie widząc nic, tak go ta nowa napaść sąsiada zgryzła i przestraszyła.

A tu — potrzeba było powinności rycerskiej czyniąc zadość, iść z królem który ludzi potrzebował jak najwięcej...

Trzaska zaraz po twarzy mn poznał, że się czémś struć musiał.

— A tobie już Napiwon pewnie coś niedobrego powiedzieć musiał? — zapytał.

Jam z tem nie spieszył, choć tyle wiem co i on... Ależ to dla was chleb powszedni, gdy Bóg Bakiem obdarzył.

— Żał mi mojego starego i żony, że ich w niepokoju tém zostawić muszę, póki Bąk też na wyprawę nie pójdzie...

— Bąk zachorzeje, albo za siebie wyśle kogo — odezwał się Trzaska, — właśnie dla tego aby pod niebytność waszą dojadł staremu i żonie... Kto nie zna Bąka!!

— Gdybym Boga w sercu nie miał — począł Szary — dawno by mu strzała w serce należała...

— Myślę, — rozśmiał się Grusza, — że gdybyście tylko mogli, powinniście go sprzątnąć, ale się on tak goły na bełt nie nastawi... Z nim trudna sprawa, jak zły tak chytry jest...

— Przyjdzie i nań godzina! — westchnął Szary.

Jakoż się przecież w namiocie przerządzać zaczęło i Grusza odprawivszy resztę, opłotki zaciągnął, straż postawił a panu Florjanowi posłanie wskazał, aby spoczął.

Gdy po twardym śnie zbudził się nasz podróżny w obozie wszystko spało jeszcze, noc była... Jego teraz sen już nie brał, czekał poranka aby Hebdy wyszukać i do domu się na krótki choć czas wyprosić.

Za wojewodą potrzeba było do miasta, bo stał gospodą u jednego z radnych, Heynucza z Nisy. A do niego się dostawszy Szary, gdy stękając na czas do domu się prosił, wojewoda zrazu słuchać o tém nie chciał.

— Ja bez was jak bez prawej ręki, — począł wielce zaniepokojony...

— Miłościwy wojewodo — ale ja tu z troski zemrę. Wiecie mojego sąsiada Bąka Nikosza — ten mi już znowu na starego ojca i żonę napaści czyni... Chcę choć zajrzeć a ubezpieczyć ich...

Tu się skłonił.

— Panie wojewodo — rzekł — na Boga miłego, poślijcie mu wici pod gardłem, aby się stał do wyprawy. Przynajmniej i ja spokojniejszy pójdę, nie przemyślając noc i dzień co się tam u mnie dzieje...

— Poślę za nim! uczynię co chcecie — zawołał wojewoda — ale bez was się nie obejdzę.

— Wrócę wnet, byłem moich raz jeszcze zobaczył! — westchnął prosząc się Szary.

Hebda ręką dał znak że przyzwala, Florjan się pokłonił i wymknąwszy z namiotu, natychmiast na koń siadł, pędząc do domu.

---

## VII.

Okolo zameczku Surdegą zwanego, od niepa-  
miętnych czasów z szerokiemi pól i lasów obszary  
należącego do rodziny zawołania Koźlarogi — na  
wzgórzu łysem stała długo pustką chwastem po-  
rastającą kupa gruzów i węgla.

Powiadano w okolicy że niegdyś Połowcy  
wtargnąwszy tu zagonem, i darmo usiłując dobyć  
Surdegę, na mniejszy ten gródek do opanowania  
łatwiejszy, rzucili się złupili go i spalili. Od  
tych czasów szmat ziemi do gródka należący  
leżał odłogiem bezludnym długo, tak prawie jak  
bez pański.

Ci do których ziemia bez ludzi należała, nie-  
dbali o nią wiele, a mieszkali pono gdzieś aż  
w Łęczyckiem.

Koźlarogów zameczek czasu tego napadu utrzy-  
mawszy się a i ludność swą co bliższą ocaliwszy,

po najeździe połowców, — osadników mając, stał się kilku siół głową — należały doń Mojkowce, Wroników, Woźniki w których kołodzieje siedzieli i Laski. Ziemi było dosyć, lasy obszerne, łąk nad Pilicą przestrzeń znaczna.

Gdy sąsiedni gródek, który podówczas Wilczą górką zwano, pustką stał, mało nie przez cały wiek, a o grunta jego nikt się nie troszczył, granice pozarastały i zapomniały się, z Surdegi ludzie od skrajów zarywali po troszę co lepszej a dogodniejszej ziemi.

Wypasano na łąkach trzody, i siano z nich zbierano, bo nikt tam nie zaglądał.

Ziemia bez ludzi, naówczas i długo jeszcze potem, była w bardzo niskiej cenie.

Wioski z lasami i gruntami nabywano za kilka kóp groszy, za trochę sukna, kilka koni lub bydła sztuk niewiele. Na Wilczej górze i jej gruntach nikt się nie sadowił, dla tego że opieki by nie miał, a dziedzice nie z tej ziemi nie mogąc wyciągnąć, prawie o niej zapomnieli.

Koźlarogowie byliby naówczas łatwo tę posiadłość nabyć mogli za lada co, ale z własnymi obszarami niewiedząc co począć, bo i tych znaczna część pustowała bez osadników; nie troszczyli się o powiększenie majątności...

Mało naówczas zaludnione były ziemie polskie i ogromne ich przestrzenie lasami zarosłe, nie uprawne; tak jak do nikogo nie należały.

Każda wojna, obyczajem ówczesnym prowadzona, w ruch wprowadzała ludność i wywoływała nowe osady. Przed najazdami Połowców, a później Tatarów, przed łupieżą Krzyżaków, wojnami takimi jak były z Czechami, którzy tysiące ludu zaprowadzali w niewolę, biedni ludzie gromadami zbiegali w lasy, a obawiając się często powracać na dawne, zagrożone siedziby, nowych szukali.

Naówczas widzieć było można, całe rodziny, z ubogiem mieniem, którego najcenniejszą część składały pracowite ręce, przywlekające się do tych miejsc które lasy osłaniały, gdzie bujniej trawa rosła, kędy płynęły rzeki — wpraszające się na pustkowie...

Potrzeba było długich lat i spokoju by z jednej pary ludzi rozrodziło się kilka lepianek i powstała osada.

Mieszali się tu ludzie różnych okolic i języków, których lata powoli jednoczyły.

Około miast ziemczących, około klasztorów, naówczas jeszcze po większej części cudzoziemską barwę mających, tworzyły się małe osady kolonistów, z różnych części Niemiec przyciągających...

Nie wszystkie wioski były rolnicze, bo rola wiele pracy wymagała, a wiele nie dawała korzyści. Rolnik też najwięcej się opłacać musiał,



dziesięcinę dawać, płacić z łanu, podwodę, przewód, stróżę, i różne pełnić uciążliwe powinności.

Niektóre osady rybackie były, inne rzemieślnicze, w jednych kołodzieje siedzieli, w drugich bartnicy, korabnicy, narocznicy, kowale i t. p.

Po za Surdegą, i Wilczą górą, za Pilicą, także duży ziemi kawał dzierżeli zdawna Leliwy. Ród był stary i rozprzestrzeniony wielce, niektórzy rycerskiego rzemiosła i zamożniejsi, inni myśliwcy, a wieśniacy, ludzie obyczaju prostego i nie lubiący dworować.

Leliwowie krakowscy piastowali już wielkie dostojenstwa u boku królów, gdy tutejsi cicho siedzieli i woleli w lasach swych gospodarzyć.

Do żywota takiego prostego a swobodnego nawyknać można, a kto go raz polubi, nie miałby na żaden inny. Wprawdzie na pańskich dworach dorabia się dostatku i czci; darowizny ziemi, bogactw i sławy, ale to wszystko opłaca się drogo, nie licząc krwi i żywota, który co dzień ważyć potrzeba.

Służyć musi kto się chce dosłużyć, a nie każdy nagiąć się potrafi k' służbie, zwłaszcza gdy sam dłużej panować nawykł. Naówczas ziemianin na swoich posiadłościach prawym królikiem był, sędzią i władzcą. Takimi i Leliwy nadpilickie z dawien bywać nawykli.

Szło to z ojca na syna. Jeden musiał rycerską

służbę pełnić, inni około domu tylko się kręcili, a swojego państwa strzegli.

Rolnictwem się wówczas żaden ziemianin nie zabawiał, łąnów dworskich tak jak nie było. Kmiecia sprawą bywało orać, siać i zbierać, osyp panu dać, siano panu zrobić, a z barci w lesie dań przynieść.

Dziedzic miał też swe barci i bartników, zwierza polował w lesie i skóry z niego sprzedawał, czasem stadniny wielkie trzymał... bydło, konie i owce.

Potrzeby były niewielkie, a gdy do tego co ziemia dawała, rycerz łup jeszcze z wojny przyniósł — zasobno było doma.

Leliwici na Lelowie, tak właśnie gospodarzyli, nie pragnąc wiele, a mając ile im było potrzeba.

Stary Bogusz Leliwa, który za młodu trochę wojował, a potem już siadł doma, zwaśniwszy się o coś z wojewodą, synów miał dwu i córkę Domnę. Starszego syna dał na rycerską sprawę, ten królowi Łoktkowi służył, nie wiele skorzystawszy na wyprawach swych, bo te łupu nigdy nie przynosiły, a krwawe bywały. Młodszy przy ojcu siedział, z nim do lasów jeździł i polował, a ziemi swej pilnował.

Dwór był stary i jak chata prosty a niewytworny. Przybudowywano doń gdy było potrzeba,

podpierano ściany, naprawiano chaty i tak się tam żyło.

Matka póki żyła wychowywała córkę Domnę, a wszyscy, ojciec, brat i ona pieścili ją, bo było dziecko osobliwszej piękności i rozumu.

Brat matczyn, która z rodu Jaksów była, księdzem został, i aż do włoskich ziem uczyć się wędrował, a powrócił świadomy wszystkiego co na świecie się działo, w piśmie biegły, pobożny i rozumny, tak że go do wielkich dostojności w kościele posuwać chciano. Lecz tych odmówił, na probostwie w Sieradziu siadł, i tam się, jak mówiono w pargaminach grzebał, a drugie i sam pisał i malował.

Ten że do siostry swej, żony Leliwy przywiązanym był, często tu w lasy zjeżdżał, kapliczkę sobie drewnianą przy dworze sklecił, w niej mszę odprawiał, a gdy dłużej w Lelowie przesiadywał młodych nauczał, a starych zabawiał i rozumne im dawał rady.

Ten siostrzenicę swą Domnę polubiwszy dla rozumu, gdy bracia jej, rychło bardzo po lasach hasać zaczęli, i księdza niebardzo słuchać chcieli, uczył wszystkiego i prawie sam wychowywał.

Umiała też więcej niż matka, ojciec i bracia, a wiedziała o ludziach, krajach, o Bogu i o świecie bożym lepiej niż oni. Stary kapłan tak się nią cieszył jak dziełem rąk swoich.

Lecz gdy dziewczę podrastało, a już można

się było troskać, komu ją dać, bo doma na zawsze pozostać nie mogła — wuj kapłan, ojciec i matka patrząc na nią, — wzdychałi potajemnie frasując się komu się taka perła dostanie, aby na niej poznał się i ocenił ją.

Ksiądz wuj po księżemu radził, aby co najlepszego dom miał panu Bogu ofiarował i do klasztoru ją poświęcić, bo w nim według niego największa ją czekała szczęśliwość i pokój niczem nie zamycony.

Matce żal było dziecięcia, ojciec nie mówił nic. Możeby wuj nakłonił rodziców do tej ofiary, lecz w czas się opatrzył że Domna, choć pobożna bardzo, do klasztorного życia powołania nie miała.

Piękne dziewczę złotowłose, żywe było, zrosło wśród lasów i wsi, na szerokich polach, na łąkach zielonych; obracając się swobodnie — w ciągłym ruchu i zajęciach, przy śpiewkach i gadkach wieczornych — klasztor ze swą ciszą jednostajną ją przerażał.

Ksiądz, który dla tego może mury klasztorne radził że się nadzwyczajnej piękności siostrzenicy dla niej samej obawiał — napróżno próbując nawrócić ją, na ostatek zamilkł i Bogu zlecił dalsze losy.

W tym czasie jakoś, gdy piękne dziewczę dorastało, jednego wieczora zjawił się w Lełowie człek młody, z rycerska ubrany i uzbrojony,

ale sam jeden bez czeladzi, zmęczony, poraniony, składając się tem, że na wyprawie był ranny i od nieprzyjaciela z niewoli zbiegł, o przytułek prosił.

Gościnności nikomu nie odmawiano, przyjęto go więc, choć nikomu się nie podobał. Patrzał z podełba, mruk był, a to co o sobie powiadał, nie jasne było i nie wszystko z sobą zgodne.

O pochodzeniu nawet swem nieumiał dobrze objaśnić, raz Mazurem się zowiąc, jakoby ród jego tam siedział, to znów od Sandomierza się opowiadając, kędy też plemienników miał. O wyprawie tej w której rannym był, także mętne rzeczy prawił i nie rad się o niej rozgadywał.

Możeby to gdzieindziej podejrzenie jakie obudziło, lecz Leliwowie, ludzie prości a łatwowierni, tyle tylko porozumieli iż biedny człek nie rad był wspominać to co go bolało.

Gdy się nieco wylizał i spoczął, a odjeżdżać nie myślał, stary pan począł go z sobą brać na łowy i bardzo był z niego rad, bo śmiały, zręczny i zuchwały niemal, dobrze mu służył — konie najdziksze dosiadał, z oszczepem szedł sam na odyńca i na niedźwiedzia, a do niczego się nie lenił.

Tak jakoś nieznacznie w dom ten wrósł, najwięcej się staremn wysługując, że już jakby domownikiem i powinowatym został. Młody go nie zbyt lubił, ale znosił.

Ksiądz parę razy go tu spotkawszy i nieznacznie wybadawszy, starego szwagra począł ostrzegać, aby nieznanego przybłądy nie żywił, a dał mu odpawę, stary nie posłuchał.

Tymczasem zmarło się matce Domny, dom opustoszał, wdowiec ze smutku więcej w lesie niż pod strzechą siedział — a Nikosz stawał mu się coraz potrzebniejszym i przylizywać mu się umiał.

Tymczasem patrząc codzien, na to cudo, dziewczę, które jak różyczka rozkwitało, i co raz się stawało piękniejsze, przybłąda ku niej miłością wielką rozgorzał.

Ludzie tego nie widzieli, dziewczę się jedno domysliło — i ulękło, bo dziki ten chłop od pierwszego wejrzenia wstręt w niej budził i obawę. Stroniła też Domna od niego nie rada się z nim spotykać nawet zdala, a przebiegły Nikosz tak umiał zachodzić, czyhać na nią, domysleć się kędy ją szukać, i gdzie ją mógł znaleźć samą, iż mu się wymknąć było trudno...

Już naówczas z różnych stron poczęli się ludzie ze swaty i dziewosłęby zjawiać do Lelowa. Stary, choć mu córki z domu srodze było żal, — nie rozpędzał ich, bo rad był wydać za mąż, aby o nią być spokojnym.

Wiano obiecywało się po matce znaczne, dziewczę było piękne, ród zacny i stary, gniazdo pocziwe, na chłopakach też nie zbywało.

Nikosz, który przy starym i na łowach i w domu ciągle przesiadywał, a zabawiał go i kładł mu co chciał do uszu — tak umiał niezacznie zawsze na każdego co na Domnę spojrział coś podszeptać iż do wszystkich Leliwę zrażał.

Czy wiedział tyle o tych młodych, czy kłamał zręcznie, dojść było trudno — a u starego wiarę zyskiwał. I im dłużej to trwało tem w domu przewagę większą brał i bali się go wszyscy, bo na każdego donosił i skarżył.

Piękna Domna za którą się uganiał ciągle, jako mogła od niego uchodziła i z oczów jęj czytać mógł że łaski u niej nie miał.

Wcale go to jednak nie zrażało, im się ona zręcznie starala go unikać, tém usilniej zachodził jęj drogę.

Przyszło do tego wreszcie iż raz ją ze starą piastunką w lesie napędziwszy, choć zaraz się z nią w stronę rzuciła — pogonił i z wielkiem zuchwałstwem oświadczył jej że ją miłuje, i choćby dziesięciu trupem położyć przyszło — nie dopuści do niej nikogo, a mieć ją musi za żonę.

Domna mu naówczas ostro odparła, że powinien pamiętać iż sługą jest, — i że ojcu się nań skarżyć będzie, jeśli się kiedy narzucać jęj ośmieli.

Na to Nikosz śmiechem odpowiedział, iż sługą jako żywo nie był, ale przyjaciele, że ziemia-

ninem równym z Leliwami się czuł, — i że od swojego nie odstąpi..

Stara piastunka nie dała mu więcej mówić i zagroziwszy precz odpędziła.

Domna wówczas słała się powróciwszy do dworu, bo człek ten strachem ją nabawił, ale ze skargą do ojca się wstrzymała, nie chcąc go jątrzyć więcej.

Sądziła że sama groźba starczy. Następnych dni jednak przekonała się że Nikosz wcale na nią nie zważał, i jak dawniej zabiegał kędy mógł, kroku jej stąpić nie dając.

Gdy się to działo, stary Dalibór Koźlarogi z Surdegi, z którym od młodzieńczych lat Leliwa w druźbie żył i pobratymstwie, gdy mu syn Florjan dorastał, a o Domnie i jej piękności zasłyszał, pojechał naprzód sam do Lelowa.

Nie zastał doma starego i czekać nań musiał aż z łowów powróci, ale mu się poszczęściło, bo Domnę zobaczył i ona go przyjmowała.

Mógł się więc i piękności napatrzyć i rozumowi nadziwić. I rzekł sobie w duchu że błogosławieństwem bożem byłaby żona taka dla syna jego.

Czekał więc na Leliwę do nocy, a gdy ten przybył rzucili się sobie w ramiona, jako dwaj bracia rodzeni i do późna we dwu rozmową się bawiąc, do syta nagadać nie mogli.

Nikosz, coś przeczuwając, choć go Leliwa



precz odsyłał i zbyć się chciał, to u progu, to za drzwiami stał, czatował, podsłuchiwał; wehodził nie wezwany i ucha bacznie nadstawił.

Wiedział on już że Dałibór syna miał i bystro przejrzał że dla niego tu przyjechał.

A tu mu i na gościa tego i nie skłamać nie było można, bo starzy dobrze się z sobą znali, i wiedzieli o sobie.

Drugiego dnia dopiero wrócił Dalibor do Surdegi, a wprędce jakoś z synem już przyjechał do Lelowa, aby go przyjacielowi pokazać.

Florjan nie podobnym był do wesolej a ochoczej nad miarę młodzieży, która wprost z podwórca ojcowskiego do pułków się dostawała, nie nie umiając krom pacierza, Bogarodzicy, toczenia z kopią i obchodzenia się z koniem.

Ojciec go posyłał do Krakowa do szkoły biskupiej, z czego się drudzy śmieli, prześladując że chyba księdzem chciał go mieć. Tymczasem w szkole on konia nie zapomniał, a wielkiego statku nabral, spoważniał i gdy z kolei rycersko służyć począł, lepszego nadeń żołnierza nie było.

Nie pięknym był, ale twarz miał poważną przed czasem, miłą, — spokojną jak wszyscy mężni. Patrzył śmiało w oczy i dawał sobie zagładać, nie mrużąc ich. Choć młody nadawał się do starszych, a z rówieśnikami też żyć umiał. Każdemu się podobać musiał, choć nie starał się o to zbytnio..

Leliwa też niemal już jak syna go przyjął, a przez dzień cały, który tu przebyli z oka nie spuścił. Wyszła i Domna z rozkazania ojcowskiego, i już się domyślając na co ją wołano, zarumieniła i strwożyła wielce. Prędko jednak ocknęła, bo młody Florek skromny i cichy, nie porywczy — podobał się dziewczynie.

Więc, choć do siebie prawie mówić nie mogli, oczyma się porozumieli.

Wszystko to zazdrośny Nikosz widzieć musiał i do wściekłości był doprowadzony, lecz zmilczał.

Młodemu dozwolono do Lelowa przybywać i już o weselu szeptano. Probował coś Nikosz podszeptać na Szarych, ale mu się to nieudało. Zgromił go Leliwa i milczeć kazał.

Niedał po sobie poznać zdrajca że go gniew i złość ogarnęły, lecz przypochlebiając się znowu staremu, zatarł swoją winę gorliwszą posługą.

Jednego razu gdy konno sam bez sług powracał do Surdęgi Florjan i już się miał na promie przez rzekę przewozić, dognał go na drodze Nikosz. Widzieli się wprzód w Lelowie zdala..

Zajechał mu z przełaju.

— Czołem!

Florjan zobaczywszy go myślał że za nim był ze dworu posłany i stanął.

W tem Nikosz, z konia nie zsiadając zbliżył się doń.

— Mam do was sprawę własną, odezwał się szorstko. Posłuchajcie mało.

Nie wiele mówny Szary, dał znak iż słuchać gotów.

— Ziemianin jestem i służyłem rycersko, począł Nikosz. Od lat dwu przyjacielem jestem i sługą Leliwy. W córce jego Domnie rozmiłowałem się, a i ona mi krzywą nie jest. Pierwej tu zajechałem niżeli wy, a teraz chcecie mi ją wziąć z przed nosa... Na to ja zezwolić nie mogę. Możem uboższy od was, ale bogactwo praw nie daje. Nie zechcecie mi dziewczki odstąpić, — siłą bronić będę praw moich.

Florjan spojrział nań zdziwiony i po małym namyśle, rzekł.

— Ja wam nie odbieram dziewczki, ale u ojca o nią się staram, jak przystało.. Do ojca idźcie z tém nie do mnie.

Wreście Domna jeśli mnie nie chce, a wam sprzyja, może to objawić.. gwałtem jej nie zabiorę.

— Otóż to jest, zakrzyczał Nikosz, że dziewczyna sromać się będzie, ojca się lęka, słowa tego nie powie. Więc ja jej i siebie bronić muszę.

Uderzył się po mieczyku.

— Małym jest i nie wydaje się strasznym, dodał, a no zawierzcie mi, że wścieklejszego człeka na świecie nie ma nademnie.

— A ja się wściekłych ni ludzi, ni zwierza

nie nawykłem bać, — zawołał Florjan i konia naparł aby jechać, a Nikosz mu drogę zaskoczył.

— Rozmyślcie się — dodał — jam życie sta-  
wić gotów, a dziewczki sobie wydrzeć nie dam.

Florjan nie odpowiadając na to, spojrział nań  
tylko ostro, usta zacisnął i zawołał nakazująco.

— Z drogi!!

Niewiedzieć jak się to stało, że groźny ów  
pachoł, choć zbiegał i zatrząsł się, ustąpił z ko-  
niem, a Szary nie patrząc już nań jechał dalej  
do przewozu.

Przybywszy do Surdegi zaraz ojcu wszystko  
jak było opowiedział; na to najbardziej nastając  
iż służka ów śmiał utrzymywać jakoby z dzie-  
wczyną był w porozumieniu.

Szary temu wierzyć nie chciał, a Florjan też,  
który jej w oczy tego dnia patrzył i w rozmó-  
wie z nią mógł ją lepiej poznać, nie posądzał  
o udawanie i kłamstwo, bo mu się sprzyjać zda-  
wała jawnie.

Nazajutrz stary Dalibor sam spieszył do Le-  
lowa z tą sprawą, bo mu żał było tej żony dla  
syna upatrzonej.

Czatował widać już Nikosz na drodze prze-  
czuwając coś, bo gdy Szary przybył a wyto-  
czyło się wszystko przed ojca, i Domnę powo-  
łano, która z płaczem opowiadała, piastunkę na  
świadectwo wzywając, jak zuchwałym był ten  
sługa niepocziwy — wnet po niego ludzi po-

słano, aby się stawiał — ale już nigdzie go ani we dworze, ani w okolicy nie było ani śladu, — koń tylko najlepszy ze stajni i rząd nań i siodło znikło.

Myśleli więc wszyscy że na tem się skończy szataństwo tego przybłądy, który za przytułek tak się Leliwie chciał wywdzięczyć. Uspokoił się — a dwór który donosiciela nie cierpiał, rad był że się go pozbywał.

Nastąpiły więc zrękowiny uroczyste, czas ślubu i wesela został wyznaczony jakoś w porze jesiennej, do których przybory czynionio wielkie, bo córka była jedynaczka, ród liczny, zjazd musiał być wielki, a wesele mniej dni dziesięciu trwać nie mogło w owe czasy.

Szary też na Surdędzie gotować się musiał na przyjęcie państwa młodych i wszystkich gości. O głupim Nikoszu zapomniano zupełnie i wyśmiewano się zeń. Jeden tylko stary Leliwa, któremu on służył pilno, czasem narzekał że mu go brakło.

Jednej nocy letniej, gdy we dworze spoczywało wszystko, a z młodym Leliwą co rycersko służył, i właśnie tego wieczora niespodzianie do ojca przybył w odwiedziny, kilku czeladzi zbrojnej razem zajechało, — nagle krzyk się stał i wołanie o pomoc od niewieścich izb...

Kilkunastu rabusiów wdzierało się do dworu. Nim jednak zdolali okiennice powyłamywać

i drzwi wywalić, Leliwa i jego czeladź z kordami poskoczyła.. Nierówna była walka bo napastnicy liczbą przeważali, lecz czas zyskano, a wnet i co żyło we dworze na nogi się pozrywało.

Tym czasem, lepiej znający miejscowość Nikosz, który ten napad sprowadził, gdy jego ludzie się ucierali, z tyłu wpadł do izby Domny, chwycił ją z łóża i chciał już unieść przestraszona, gdy Wojtek Leliwa nadbiegłszy na krzyk w łeb go rąbnął tak iż mu się dziewczę wyrwało.

Musieli uchodzić napastnicy... unosząc z sobą rannego Nikosza..

Ścigano potem w okolicy rabusiów tych i ich wodza, po lasach, po gościńcach, bo Florjan pomsty chciał koniecznie, połapano niektórych, dwu obwieszono, lecz sam sprawca nie wpadł w ręce. Byli znowu pewni że nauczony nie pokaże się więcej.

Nadszedł czas wesela, zjechało się rodziny dość, ale nie tyle ile się jej spodziewano, bo wojna była i królowi ludzie potrzebni. Nie zbyt więc gwarno i tłumno było w Lelowie, a zjechali się po większej części starzy, którzy na wyprawę iść nie mogli.

Trwało wesele jak było we zwyczaju dni kilka i dopiero dziesiątego nad wieczór cały orszak weselny wybrał się do Surdegi.

Jechali tedy oboje państwo młodzi na koniach, otoczeni przyjaciółmi, czeladzią, z muzyką na przedzie. Na wozach za nimi w skrzyniach malowanych i kutych wieziono wiano pani młodej jak przystało dla Leliwianki bogate, tak by przez całe życie od męża nic nie potrzebowała.. Było i wino i miód dla gości na wozach, któremi podczaszowie wybrani częstowali.

Wieczor był pogodny i piękny, ale z Lelowa z wyjazdem się spóźniono, tak że w bliskim lesie, który od rzeki przegradzał, ciemno się już zrobiło. Służba więc pochodnie miała rozpalać i na chwilę się zatrzymano, gdy, z lasu kilkadziesięciu zbrojnych wypadło z mieczami dobytymi, wprost na bezpiecznych i niczego się nie obawiających gości.

Jedni zaraz na wiano się rzucili, a kupka, w której Florjan poznał Nikosza, na panią młodą.

Stało się zamieszanie wielkie i była chwila trwogi, lecz czeladź się opamiętała wprędce, a Florek z Wojtkiem Leliwą padli na głównego napastnika. Nie było jednego z gości, któryby stał bezczynny lub pierzchnął, jedni miecza dobyli, drudzy czem kto miał i mógł bronili się dzielnie. Służba pochodnie tylko co zapalone koniom i ludziom do łbów rzucać zaczęła, i choć rozbójnicy zacięci byli, zrąbano ich kilku a reszta uciekła. Nikosza widziano gdy krwią cały oblany ujechał.

Tych których żywcem chwycono, zaraz krótkim sądem powieszano na dębach i w godzinę pochód cały ze śpiewaniem i muzyką, zwycięzko dalej jechał do Surdęgi, bo nikt do Lelowa powracać nie chciał.

Ze strony pana młodego, on sam w rękę był cięty, brat Domny głowę miał rozplataną, i ludzi kilku ciężko było rannych.. Tych na wozy pobrano do skrzyń, a że napaść opóźniła ich, niemal nad ranem dopiero przybyli młodzi do domu..

Krwawe to było wesele, lecz się dla tego radowali mu wszyscy i ucztowanie w Surdędze przedłużyło się jeszcze dni kilka.

Pewni byli Leliwowie, że niepocziwy człek, który się tak zuchwale na nich śmiał porywać, dobrą naukę wzięwszy, nigdy więcej na ten świat się już nie pokaże.

Jeden Florjan Szary, choć nie wiele się tem frasował, pewien był że z Nikoszem rzecz nie jest skończona.

Gdy się rozgłosiło o nim, a szukano go i dowiadywano się — doszli ludzie wreszcie kto był, i że kędyś około Sandomierza ubogiego ziemianina syn, rycersko nie służył nigdy, ale z ojcem razem po gościńcach rozbijał...

Nie było to rzadkością w owych czasach, zwłaszcza w Niemczech, gdzie obyczaj trwał napastowania i odzierania podróżnych. W wielu



też okolicach i w Polsce działały się takie bezprawia, za które i Czesi, czasu swego panowania wielu ziemian wywieszali i Łoktek ich nie żałował.

Nikosz ten z młodu zaprawny do rzemiosła, mógł i dalej go nie rzucać, lecz szczęśliwszego sobie placu szukać, gdy tu mu się nie wiodło.

---

## VIII.

Nie było pewnie na szeroką okolicę szczęśliwszego małżeństwa nad to krwawe, ani lepiej dobranej pary. Wprawdzie szczęśliwemu Florjanowi długo siedzieć w gnieździe nie dał wojewoda. Raz w raz go potrzebowano, musiał ledwie zsiadłszy z konia, na drugiego się przesiadać; ledwie przywitawszy się, żegnać.

Naówczas Dalibor zostawał na straży grodka, domu, żony i gospodarstwa, a Domna też mu pomagała. Piękna młoda pani, była i pracowitą i mężną, jak przystało żonie wojaka. Cały dzień nie przysiadła i nie spoczęła, albo z dziewczętami swemi przędąc i śpiewając, lub ojca zabawiając, porządek czyniąc w domu, wręście modląc się, bo, choć do klasztoru iść nie chciała, pobożną była bardzo.

A ta pobożność jej i praca była przedziwną,

okraszona wesołością, pogodą oblicza, uśmiechem spokojnym, niewinnym, dziecięcym niemal, który z ust jej nigdy nie schodził.

Stary Dalibor patrząc na nią jak się śpiewając krzątała po domu, płakał z radości. Ludziom też to wesele pani serca dodawało.. Miłowali ją wszyscy, a przez tę miłość obawiali się razem. Słowo jej za rozkaz starczyło najsroższy i czego czasem Dalibor nie mógł postrachem, ona zrobiła spojrzeniem.

Kilka miesięcy zeszło tak w niczem nie zamąconem szczęściu, gdy dnia jednego wiosną powracając z pola włodarz, oznajmił Daliborowi, iż — coś się osobliwego działo na Wilczej górze.

Opowiadał iż ludzie tam jacyś zjechali, naprzód na oględziny, potem z wozy i końmi i jakby sobie obozowisko zakładali.

Od wielu lat nikt tam się nigdy nie dowiadywał, pustką stały rumowiska.. bezpańskimi pola do koła, na raz znalazł się pan.

Pod samym bokiem Szarym nie miły to był gość przy niepewnych granicach. Posłał naprzód stary włodarza aby języka dostał, co tam byli za goście.

Włodarz którego wołano Wnukiem, człek już siwy i bywały, konia wzięwszy, i niby pola sobie objeżdżając, zajechał pod Wilczą górę. Ludzi na niej leżało ze dwudziestu, wszystko zbrojni,

chłop w chłopu zdrowi i silni. Zobaczywszy go, jeden wstał i zagadnął czego chce!

— Jam tu z sąsiedztwa, odezwał się Wnuk, patrzę co nam za nowina przybyła, bo tu z dawien dawna nikt nie gościł.

— No, a teraz za wszystkie czasy będziecie mieli sąsiadów i gości — zaśmiał się ten co z nim rozmawiał, człek z kilką szramami i bliznami przez łeb naznaczony.

Popatrżeli na się.

— Coście to, kupili czy odziedziczyli? zapytał Wnuk.

— Kupilem, odparł zuchwale zapytany i tęgom zapłacił, — pargamin mam jak należy, pod pieczęcią przy świadkach.. a kto czytać nie umie, to mu żelazem prawo swoje wytłumaczę.

— A nie wolno wiedzieć jak was mianują? rzekł Wnuk cierpliwie..

— Swego czasu się dowiecie! zaśmiał się porąbany odchodząc.

Koźlarogom trochę było nie na rękę dostać sąsiada, gdzie dawniej sami gospodarzyli na beapańskim — lecz że żadnych praw do Wilczej góry nie mieli, musieli cierpliwie znosić co się tam działo.

Krzątano się bardzo gorąco około pustego pagórka, na co z Surdegi patrzeć było można, bo oko sięgało łatwo do niego. Ludzi miał z sobą nowy dziedzie kilkudziesięciu, i wozów kilka.

A choć na nich sobie zapasów przywieźli i co było do życia potrzeba, nie bez tego ażeby czegoś nie zabrakło im. Naprzód więc niektórzy z ludzi zaczęli dochadzać do Woźnik, aby sobie piwa dostać i świeżego chleba kupić.

Wnnk, który pod ten czas objeżdżał lasy, jednego z nich zastał w gospodzie w Woźnikach. Człek był nie młody i okrutnie porąbany, bez palców u ręki, bez jednego oka, nakuliwający na nogę, ale zuchwały jak zbój.

Chcąc się coś dowiedzieć o Wilczej górze, Wnnk go piwem poczęstował, aby na słowo wywabić. Człeczysku podpiwszy język się rozwiązał.

Naprzód się tedy wygadał że oni ze swym starszyzną, jak on to nazywał uśmiechając się, długo po gościńcach polowali, tu i owdzie, ale że im się wreszcie życie to naprzykrzyło, bo ich teraz ścigano i bardzo prześladowano. A że się ich starszy dorobił trochę grosza, w tej okolicy koniecznie pragnąc się osiedlić, zasłyszawszy o pustej Wilczej górze i gruntach do niej należących — pojechał do właścicieli i kupił ziemię tę za pięć kop groszy, cztery konie i sztukę szkarlatu, którą niegdyś u kupców na gościńcu złupił.

Starszego swojego zwał zbój Nikoszem Bąkiem i rozповідаł o nim, że śmielszego i zuchwalszego nad niego na świecie nie było.

Kolnęło to Wnnuka, gdy imie usłyszał, iż Ni-

kosz musiał ten sam być który w Lelowie przebywał, i o Domnę się dobijał, a potem na jadące wesele napadł; lecz nie dając po sobie znać, pojechał ztąd precz do Surdęgi.

Tu gdy Daliborowi rozpowiedział wszystko a opisał mu widzianego wprzód Bąka, nie było już wątpliwości iż ten sam Nikosz był, który się na ich spokój nasiał, a pewnie i teraz nie dla czego innego w Wilczej górze się zagospodarowywał, tylko aby im życie zatruć.

Musiano więc zaraz pomyśleć o obwarowaniu się na zamku, bo i napaść nocna i rabunek i wszelki gwałt był możliwy.

Na granicach się też musiano pilnować, bo zaraz do lasów pojechali ludzie z Wilczej góry z wozami i w puszczy Surdęskiej drzewo rąbali.

Kazano łąki pozatykać i rubieże poznać.

Nazajutrz znaki graniczne powyrywane i polamane znaleziono. Wojna się poczyniała.

Ale to były dopiero jej zwiastuny, bo do starcia nie przyszło. Stary Dalibor go unikał.

Na Wilczej górze tymczasem na gwałt budowano, zwożono drzewo, ciosano, oczyszczano gruzy, sypano wały, zrobiono na przekopie most i bronę — a na podzamczu, gdzie niegdyś stała osada, dla ludzi swych szałas i lepianki klecić począł nowy dziedzie.

Ludzie ci jego że sami byli, i nie mieli z sobą baby ani jednej żeby im chusty poprała i jeść

zwarzyła; ruszyli zaraz szukać sobie towarzyszek i w Surdędze dowiedziano się że jednego dnia w pięciu się puścili na npatrzonego za Pilicą i przy ruczaju, gdzie z Wulki dziewczęta i niewiastki przychodziły prać bieliznę, porwali jedną piętnastoletnią dziewczkę, a drugą zamężną młodą, na koń je poprzywiązywali i uprowadzili.

Puściła się za nimi pogoń, ale wieśniacy źle uzbrojeni pobić się dali, a dziewczynę i niewiastę uwieźli zbóje.. trzymali je na zamku do czasu i, choć się o nie upominano wydać nie chcieli. Tak się i zostało.

Trwoga poszła po osadach okolicznych, że się już pilnowano wszędzie od tych rabusiów.. Oni też za trzecią dziewczyną pono wyjechali dalej i od trzody porwali o mil kilka, a tak uszli z nią, że i gonić nie było wiedzieć dokąd.

Na pagórku wkrótce stanął zrab dworu, który żółciał zdala. Cznę już było sąsiada, bo nad granicą umyślnie ludzie jego szkody zdawali się wyrządzać, ale do bitki jeszcze nie przychodziło. Odgrązał się tylko Dalibor i pan Florjan.. Choć się domyślali Nikosza, nie byli pewni, bo go w oczy nie widzieli.

On też z napaścią nie spieszył, bo słabszym się czuł, ludzi miał nie wielu. Tym czasem tylko ściągtał osadników, posyłał i już na skraju lasu małą osadę zakładał, którą Cieślakami zwano, bo

najwięcej tam było tych co około dworu robili z toporami.

Jeden w drugiego ludzie tego Bąka dobierali się wszyscy drabi i rabusie, tak że od nich w Woźnikach, we Wronikowie i w Laskach ciągle się musiano mieć na baczności, bo, choć schwycić ich było trudno, ciągle coś ginęło, to sztuka bydła, to koń, to wóz na polu zostawiony, a nawet całe stogi siana. Niepomogło to że ślady wiodły na Wilczą górę, bo kto poszedł ze skargą, to go zhukano, zagrożono i przepędzono.

Barcie w lesie wydzierać zaczęto — a pomniejszych szkód nie można było zliczyć.

A to gniazdo paskudne około Wilczej góry tak szybko rosło jak żadna jeszcze osada, którą tu ludzie pamiętali. Niewiedzieć z kąd się ta gawiedź brała. Miał między swemi pierwszemi towarzyszami Bąk takich ludzi, że gdy który z nich pojechał, a jeździli ciągle; zawsze z sobą kogoś, parobka lub babę, lub chłopię wyrostka przyprowadził.

Rozpowiadali Wnukowi, który się o to pilno dowiadywał, że Bąk z dawnych grabieży pieniędzy pono miał dużo i różnych kosztowności, i że z niemi do Sandomierza, do Krakowa i aż do Nowego Sącza posyłał, a niewolników kupował u żydów, którzy niemi handlowali. Więc to tam byli z całego świata zbierające,



różnego języka i krwi, z postrzyżonemi łbami, tacy o których wiadano że zwykli byli zbiegać, pokuci w dyby drewniane, z któremi do roboty chodzić musieli i na noc im ich nie zdejmowano.

Tak w krótkim czasie namnożyło się około Wilczej góry tych przybłędów i w Surdędze zaczęło być coraz od nich niebezpieczniej i niewygodniej.

Czasem ów Bąk puszczał się na łowy w lasy, nie pytając granicy lub umyślnie jej nie szanując, i bujał po puszczy Surdęskiej, a na gorącym go złapać nie było można, choć się zaszadzano nań.

Jednego razu gdy Florian Szary sam polował u siebie, zasłyszawszy cudzą trąbkę, puścił się zaraz gonić napastnika, domyślając się kto był. Samotnie jechał. Tamten czy się nie spodziewał, czy nie chciał uchodzić, stał w miejscu potrzebując i tak go Szary przydybał na polance. Na pierwsze spojrzenie poznał w nim Nikosza..

Stanęli tedy nie opodal od siebie, jakby się namyślając co mieli począć. Szcześnie Nikosz sam jeden był, a Szary dwóch miał ludzi, nie zaczął go więc zbój, tylko ryknął doń.

— Poznałeś mię?

Nic na to nie rzekł Szary.

— Znajże iż ja tu nie dla kogo jestem ino dla ciebie, aby ci spokoju nie dać zażyć. Bę-

dziesz mnie miał dzień i noc pod bokiem, jak kamień w łożu. Wziąłeś mi dziewczkę którą mieć chciał, — jeszcze ci ja ją może choć niewiastę odbiorę. Dwa razym się przez was krwią oblewał, oblejcie się wy i posoką i łzami..

To mówiąc pięść wystawił przeciwko Florjanowi, zawrócił konia i w las pojechał. Szary za nim strzałę puścił i psami swemi poszczuł, ale nie trafiła go strzała i psy nie nagnały.

Od tego dnia prawie zaczęło się między Surdegą a Bakiem, bo tak Wilczą górę zaczęto nazywać — nieustająca wojna.

Trzeba było mieć się na pieczy ciągle od nich, a i samemu często napadać by swoje odebrać albo za szkodę sobie wetować. Najwięcej na tem ludzie w Woźnikach, w Laskach, we Wronikowie a nawet w Mojkowcach cierpieli, bo panu chcąc dokuczyć na nich się jako bezbronych rzucali zbóje. Zabijano, okradano, łupiono..

Szary często w domu nie bywał, więc ojciec trzymał się tylko obronnie i opędzał jak mógł. Bywało że Bąk ludzi swych zebrawszy kupą, podjeżdżał pod zameczek w Surdędzie, niemal pod wrota i stawał albo się rozkładał obozem, odgrażając, wywołując... a szydząc żeby mu Domnę wydano...

Czasem Dalibor z małą garścią swoich musiał się z za ostrokołów odstrzeliwać im aby się pozbyć, nim by z sąsiedniej wioski ludzie nadeszli.

Naówczas sama Domna zagrzewała dwornię i luki im brać kazała.

Pod jedną niebytność Szarego, Bąk na Woźniki najechawszy, gdy ludzie zaraz w lasy zbiegli, chaty zrabował i spalił.

Gdy Florjan powrócił, rozsierdził się tak że mu tego podarować nie mógł. Zebrał więc co mógł swoich, najwięcej z tych rozpierchłych z Woźnik, dobrze ich uzbroił, i z pacholkami dworskimi najechał w biały dzień na podzamcze Bąka.

Wypadł sam Nikosz na obronę, i przyszło do starcia na miecze, ale ludzi miał dobrych Szary i był dnia tego silniejszy, tak że Bąka zmusił uchodzić za bramę do gródka, a na podzamczu co było chat kazał pod nie ognia podłożyć, mszcząc się za Woźniki — i sam stał pilnując aby nie ratowano.

Jeszcze się po tej klęsce gorzej rozjadł Nikosz i jego ludzie, tak że między osadnikami jego a Florjanowemi już pokoju nie było, do spotkania rwali się na siebie i mordowali.

Zapalono nocą chaty w Mojkowcach, ale się je odratować udało.

Splonęły stogi na łąkach u Szarego, popalono co było około Wilczej góry. Ale tu nie wiele się dało zniszczyć, bo zawczasu swoje siano na zamek pościgali.

Inaczej jak zbrojno nie wyjeżdżał z nich za-

den za wrota. Najgorzej to dopiekało Szarym, że im wciąż w uszy krzyczał zbój, że Domnę odbierze, choćby dziesięć lat musiał na nią czekać. Mężna niewiasta, nie mogła prawie wyjść z zamku, gdy męża nie było; i nóż u pasa nosić zawsze, jak mężczyzna, bo od Nikosza i we własnym domu bezpieczną się nie czuła.

Życie na zamku w Surdędze stało się nie-  
znośnem.

Byłby na to zaradził może Florjan, raz się z przyjaciółmi namówiwszy i z rodziną, a powinowatemi, aby Wilczą górę osaczyć i zbója wziąć a do królewskiego sądu odstawić. Lecz na to czasu nie miał nigdy, bo ledwie wrócił z wyprawy jednej, już na drugą wołano. Czasy takie były za Łoktka, iż co lepszemu rycerstwu, jeżeli nie na kresach, to kędyś w domu trzeba było być aby nie dać się wybić z pod jednego panowania buntującym. Gościem więc był w Surdędze pan Florjan, a może to zło iż szczęścia domowego nigdy długo zakosztować nie mógł na dobro się obracało, bo mu ono tem dłuższem było.

I miłość a zgoda między małżeństwem była taka, jakiej trudno gdzieindziej znaleźć na świecie. Więc te dni skape które spędzał Szary u siebie, złotemi mu się wydawały, a przelatywały jak sen złoty.

Domna, która niegdy dziewczęciem piękną

była, po narodzinach pierwszego syna, jeszcze wypiękniała i jakby się dopiero taką okazała jaką powinna była być dojrzałą.

Pozostał jej ów wdzięk niewinności dziewczęcej, jaki miała wprzód, a przybyła powaga macierzyństwa i jego szczęście, które na pięknej twarzy czce świeciło jakby blaskiem błogosławieństwa bożego.

Gdy we wrotach oznajmiono o powracającym Florku, wziąwszy synaczka na ręce, z piosenką na ustach, z weselem na czole wychodziła przeciw niego żona, tem większą okazując radość by nie troskał się o to co pod niebytność jego przecierpieć musiała.

Nie poskarżyła się nigdy mężna niewiasta, aby mężowi serca nie zalewać goryczą; a gdy stary Dalibor czasem, jako to zwykle jego wieku ludzie czynią, narzekaniom nie znał miary, zamykała mu usta łagodnie, pieszcząc, przerywając, odwracając rozmowę, aby Florjan w domu mógł trochę zażyć spokoju.

A właśnie tak tu było trudno o to!!

Myśleli Koźlarogi że złemu człeku sprzykrzy się w końcu to prześladowanie i walka; zwłaszcza że bezskuteczne były; lecz, przeciwnie im mniej mu się powodziło tem mocniej się zbój nasadzał i wszystkie siły wyteżał.

Dalibór wreszcie padł na myśl, aby u niego-dziwego Bąka pokój choćby okupić. Gotów był

na to jaki miał zapas grosza poświęcić. Użyto przyjaciół, co się do Nikosza zbliżyć mogli, i poddano myśl jakiegoś układu i zgody. Na pierwszą o tem wzmianką Bąk się zerwał, a było to w Sieradziu na zjeździe ziemian, krzycząc że gdyby mu górę złota taką dano, jak była Wilcza, nie kupiono by za nią spokoju dla Szarych, bo po to on żyje aby się na nich mścił iż mu jedyny skarb wydarli.

— Byłbym ja innym człekiem — począł, gdybym tej żony dostał którąm mieć chciał. Bogu bym i ludziom się zdał a za grzechy moje odpokutował — nie dali mi jej... Lała się krew moja, łać się będzie ich krew aż do kropli ostatniej i albo ja ją będę mieć lub zginę.

Poczęli go drndzy opamiętywać iż cudzą jnż żoną była, że jej nigdy dostać nie może.

— To niech on zginie co mi ją wziął, krzyczał zbój, albo niech i ona ginie, aby jej ani on ani nikt nie miał, gdy ja mieć nie mogę!!

Pókim żyw, nieustąpię..

I kłął się tak strasznie, iż słuchający uszy sobie zatykali. Nie było więc innego sposobu, jak przed sąd królewski go pozywać o gwałty i zbójectwa. Ale dla tych wojen nieustannych sądy się i zjazdy nie zawsze w porze odprawiały, Bąk nie stawał na nie, sądzono zaocznie, a schwytac nie było sposobu.

Musieli więc Leliwy i Koźlarogi z powinowa-

temi ostatecznego się chwycić środka, czatować na złego czleka aby go zgładzić.

Nikosz Bąk, który sam niegdy zbójem był, i wiedział że głowa jego wiele wartała, umiał jej strzedz. Domyślał się co mu groziło, nie wyjechał z domu nigdy bez ludzi, dobierał najlepszych, zbroił się jak na wojnę, przytem czujnym był, pory wypatrywał, drogami się takimi prze-mykał, że go wytropić nie było można; a jednym gościńcem nigdy dwa razy nie puszczał się.

Miał i ten rozum że ludzi usypiać umiał. Czasem go długo słyhać nie było, przycupnął, siedział cicho, bąkano że chory.. Zaczynano lżej oddychać; a on przysposobiwszy się w milczeniu nagle potem rzucał się na nieopatrnych.

Choć żadne nie zdawało się grozić niebezpieczeństwo, ustawicznie musiano czuwać w Surdę-dze, a ta baczność i obawa nużyła i starego Dalibora i Florjana. Zameczek jak gdyby czasu wojny musiał załogę mieć, oręż i wszystko czego potrzebował do obrony, bo gwałtownej napaści zawsze się spodziewać musiano. Ostrokoły i drewniane opasanie gdy cokolwiek z gliny opadło, raz w raz oblepiano i obmazywano na nowo, aby ognia nie podłożono pod nie, który razy już kilka znajdowano, wraz ze smołą i pakułami.

Ludzi, choć potrzebował Szary, do swoich osad i do dworu, a stręczyli mu się, wahano

się ich przyjmować, bo i to się zdarzało że w nich nasłanych zdrajców potem poznawano.

Przy tych wszystkich utrapieniach powszednich, inna kobietaby oczy wypłakała i los swój nieszczęśliwy przeklęła, ale Domna była wielkiego ducha niewiastą rycerską jak mąż, — i w ogniu tem żyła śpiewając a śmiejąc się jakby w swem żywiole..

Mężowi też, który powinność swą rycerską i służbę odprawiać musiał, nie stanęła na zawadzie nigdy, nie strzymała go gdy szedł ani łzami ni słowem. Uspokajała owszem gdy na koń siadł aby o dom się nie zbyt troszczył, bo oni z ojcem rady sobie dać potrafia. Pod niebytność też męzowską, ona i Dalibór musieli czuwać bez wytchnienia.

Nocą strażę chodziły z grzechotkami i nawoływały się. Na najmniejszy szmer podejrzany bito w deskę na ludzi, aby wstawali.

Wieczorem nie spuszczać się na nikogo, Dalibór sam lub Domna obchodzili gródek do koła, każdej furty próbując czy była dobrze zamknięta, każde okno zasuwając i pilnując czy za ostrokołami kamień, koły, haki były na podoręczu.

Dalibór nie bardzo spać mogąc, kilka razy w nocy wstawał.. We dnie ktokolwiek się do wrót zjawiał, musiano badać i opatrywać kto był, nim go puszczono. Jechać nawet do drugiej



wsi bez zbrojnych nie było można, a po nad granicą gdzie były, drogi pozarastały, bo się nikt nie ważył na nie..

I gdy w tej dawniej tak spokojnej osadzie, wszystko stało otworem, dostatek panował, gromadziły się zapasy, teraz coraz było cieśniej.

Za to pusta niegdyś Wilcza góra, teraz Bąkiem zwana, już do dawnej wcale nie była podobną. Stał dwór duży w pośrodku, a że stadninę chował liczną Nikosz, szop dla niej i dla trzody naklecono do koła. Na podzamczu po spaleniu go, przekopano rów i puszczo wode, a w pośrodku, jakby na złość pobudowano chaty nowe. Zbóje co poprzychodzili tu sami. gwałtem i różnemi sposoby bab sobie napytali. Zwozili je, gdy inaczej nie mogli, kędyś z za świata i takie których już nikt nie chciał, a że srogo trzymali, więc się to nie rozbiegało.

Drugim dobrowolnie, dla świętego spokoju sąsiedzi wieśniacy córki i siostry dawali, choć się to na wiele nie zdało, bo dla tego swoich dzieci ta nie poszanowała.

A że zbóje mieli różne nabywania sposoby, i nie można było ręczyć żeby i teraz po gościńcach nie napadali; był u nich wszelkiego mienia dostatek.

Ubożało do koła, ci w pierze porastali. Najlepsze konie, najtłuściejsze bydło, najpiękniejsze szaty na nich widać było.

Nikosz gdy jechał ze swoim dworem, z naj-  
pierwszemi ziemiany mógł się równać szatami,  
wierzchowcami i zbroją, tylko w oczy im nie  
trzeba było zaglądać, bo jak on sam tak jego  
towarzysze, na łbach mieli napisano z czego  
urośli i czem byli.

Starał się o to pilno Szary, aby Nikosza do  
pułku wezwano i na służbę rycerską, boby przy-  
najmniej czasu tego gdy go doma nie bywało,  
spokojniejszym mógł być. Lecz Bąk, który do  
zwady i napaści bardzo był skory na wojnę się  
nie spieszył. Miał sposoby różne wymówienia się  
od niej.

Gdy się zrazu w okolicy ukazał, a wiedziano  
o nim od Leliwów, kto był i dawne jego spra-  
wki też na wierzch powychodziły — stronili lu-  
dzie od zbója, nikt z nim na zjazdach na jednej  
ławie siąść nie chciał, ani pić i jeść u jednego  
stołu.

Ale to nie trwało. Zaczął rosnąć w pierze,  
potem co lżejszych ujmować sobie kubkiem,  
datkiem, końmi, bo to co mu łatwo przycho-  
dziło, tem lekko szafował, i powoli nawracali  
się już doń niektórzy. Puszczano mimo uszów  
co broił, a garnęli się do wesołego i chętnego  
człeka. Ośmielił się zrazu jeden pojechać do  
Bąka w gościnę na Wilczą górę, a jał potem  
zachwalać jak go tam przyjęto i obdarzono —  
pociągnęli probować drudzy.

Bąk co sam jak palec był w początku, poczekawszy miał już przyjaciół i drużynę. A wszyscy ci co do niego przystali już przez to Szarym nieprzyjaciółmi musieli być. Wprawdzie nie z najlepszych się to ściagało, a z odpadków, ale to zawsze najgłośniej krzyczy co najmniej warte.

Ze smutkiem musieli na to patrzeć Leliwowie i Dalibor stary i młody Florjan — lecz się nie skarżyli, bo mieli swą dumę... Leliwa też wkrótce zmarł synowi po sobie zostawując Lelow. Na Surdędze nie zmieniło się nic, a było co raz biedniej. W czem tylko pokrzywdzić i uszkodzić mógł Nikosz, nie omieszkał.

A że granice długo zapomniane były i zaniedbane, nikt ich nie pilnował, teraz obronić było trudno. Bąk się gwałtem powrzymał w posiadłość Szarych, tak że kopce posypał nie daleko zamku na łące, która jak świat światem do Surdęgi należała. Rozsypano je drugiego dnia, przyszło do krwawej bójki, lecz straż trzeba było trzymać, bo po nocy wpadali zbójce Nikosza z łopatami i co było rozorane, znown nasypywali.

Toż samo w lasach na drzewach gdzie były znaki i krzyże na starych pniach, korę i żywe drzewo pozrębywano, a nowe w środku puszcz powyciosywano i posmolono aby się jak stare wydawały.

Zatem szło że o połowę ziemi w sporze potrzeba się było rozpierać ciągle.

Nikosz się śmiał i radował, gdy się dowiedział że w Surdędze nań narzekano, a gdy mu się udało dokuczyć — chwalił się z tem, i gdy Florjana nie było w domu, podjeżdżał z kupą pod wrota same gościńcem, stawał i wykrzykiwał, a szydził, że w ludziach co słuchali krew kipiała..

Czasem doń strzelano, lecz nie łąco go było dosięgnąć, bo żelaza na sobie miał dosyć, hełm nosił zawarty, bez tarczy małej nie ruszył, a oręża u boku i siodła miał nawieszanego, że na dwóch by go stało. Ci co z nim bywali także nie lękali się lada postrzału.

Jak ze wszystkiem w świecie człowiek obyć się musi i zżyć, tak i z tem nieszczęściem oswoili się na zamku wszyscy, oprócz pana Florjana. Temu więcej niż ta ciągła obawa i czuwanie dolegał srom iż jednemu przybłędzie niepoczciwemu, który się tu zwłókł niewiedzieć zkąd, ojczycem tutejszym nie będąc — musiał czoło stawieć w zapasy z nim iść i nie módz go pokonać.

Nie mówił on o tem, bo skarżyć się nie lubił, lecz życie mu zatruwała ta troska dla żony którą choć zawsze dobrej myśli i wesołą widział, żałował iż w zamknięciu tem i jak w więzieniu żyć musi.

Myślał więc i przemyślał ciągle jakby raz pozbyć się człowieka tego i spokój biednej kobiecie powrócić, a modlił się o to jedno jak o nagrodę do Boga, aby mu dał nad wrogiem zwycięstwo.

Nie obiecywało się ono tak rychło.

---

## IX.

Wiedział Bąk o wszystkich obrotach Szarego. Miał on swych ludzi wszędzie, a gdy inaczej języka dostać nie mógł, żebraka, któremu u siebie chleb i przytułek dawał, niejakiego Kurpia, wyprowadził do Mojkowiec, a czasem i do Surdęgi.

Kurp ten, niegdy także z ziemiany polowaniem się po gościńcach zabawiał, potem okulał i zniedołężniał, chadzał więc z torbami za jałmużną, a że gębę miał wyprawną, i ludzi gadkami i piosenkami bawić umiał, nie źle mu się działo.

Ten gdy raz na Wilczą górę zaszedł i w czeladnej izbie durzył zebranych próżniaków, którym do smaku przyszedł, bo w nim swojego poznali; nadszedł Bąk. Najulubieńszą jego też zabawą było ze swą czeladzią, w dymnej izbie przesiadywać i ladajaką rozpustną rozmową czas

zabijać. Kurp mu się podobał, na długie zimowe wieczory go sobie zamówił, piwa mu nie szcędząc.

Łaził więc tu stary i siedział chętnie, a gdy się lepiej poznali, zaczął go Nikosz tu i owdzie wysyłać, aby się o coś dowiedział. Nie obudzał stary kaleka podejrzenia, znano go od dawna że się po okolicach wałęsał. I tak uczynił sobie zeń pomocnika.

Włókł się Kurp do Mojkowiec, do Wronikowa, a gdy tam niemógł się dowiedzieć co mu było potrzeba, szedł do Surdęgi stawał u zamkniętych wrót, śpiewał, pisał, aż mu wreszcie je otworzono.

Tu też żebraka od ognia w czeladnej izbie nie odpędzano. Dawano mu jeść, słuchano chętnie co rozповідаł — wypytywano i wygadывano się przed nim, nie zbyt ostrożnie.

Kurp' zawsze mógł się tu dowiedzieć kiedy i na jak długo wyjeżdżał z Surdęgi Florjan, i gdy się go z powrotem spodziewano.

I teraz też, gdy Hebda wezwał Szarego, a sposobiono się do wyprawy przeciw Krzyżakom, Bąk był dobrze uwiadomiony. Wiedział i o tem że ludzi co najlepszych z sobą zabrał Szary, a był pewien że z niemi zostanie przy królu i nie zjawi się do Surdęgi, aż po wojnie, która się zapowiadała długą i krwawą.

Właśnie gdy Szary do Poznania spieszył,

a potem do króla pod Kraków, Bąk na Wilczej górze przemyślał jakby z niebytności jego korzystać.

Jesiennego wieczora w wielkiej czeladnej izbie u Bąka wszystek jego dwór był zgromadzony. Na ławie w kącie siedział i Kurp kije swe obok siebie postawiwszy.

W izbie jak zawsze dymno było i mroczno, choć się w jednym jej końcu ogień palił i u kominu skałki zakładano na żelazny ruszt, aby przyświecały.

Twarze i postacie które z za dymu gdzieś niegdzie się ukazywały, oświecone płomykiem skałki, wszystkie były do siebie dobrze dobrane. Zbóje jeden w drugiego, zarosłe, czarne, opalone, z porąbanemi twarzami, nie wiele poszanowania okazując swojemu panu i wodzowi — siedzieli i leżeli na wpół, z kubków popijając i niekiedy dzikimi głosy się odzywając lub wykrzykując.

Bąk srogim bywał dla tych ludzi, gdy szło o posłuszeństwo, wiedzieli że gdy się wściekł z gniewu, nie jednemu łeb ściał — ale bywały godziny w których im z sobą pozwalał poufale przestawać. Wśród nich, gdyby nie dumna postawa i nawyknienie do rozkazywania, które człowieka czyni sobie pewnym a piętnuje w nim wodza — trudno w nim było rozeznać pana. Odzież miał prawie taką na dzień powszedni jak i drudzy, nie odznaczał się od nich niczem. Oby-



czaj też miał ów leśny a starego rzemiosła — mowę taką jak inni zbóje.

Wśród nich czuł się w swoim żywiole.

Stał teraz w pośrodku nich, w bok się ująwszy, a towarzysze siedzieli niektórzy, leżeli na ziemi i na ławach, pospierani na rękę. Kurp piwo pił kubek trzymając w jednym rękę, w drugim dużą chleba kromkę, białem czemś zasmarowaną, którą chciwie pożerał.

Bąk ku niemu był zwrócony.

— Gadaj że, psia wiaro, coś tam słyszał? wołał.

— Tom ci wszystko wygadał — odparł chleb żując, niewyraźnym głosem, bo gębę miał zatkaną Kurp — mało ich jest na zamku. Mniej niż kiedy bywało, a w potrzebie stara wiedźma, Zurycha, furtę tylną otworzy. Zaprzysięgła się.

— Gdyby łotrzycy tej pewnym być! zawołał. Po co na zamek się rzucać i szturmować, dość by się było podkraść, podpełznąć, przez furtę wpaść, Domnę porwać i ogień podłożyć.

— A wprzód kąty oczyścić! zaśmiał się z ławy jeden.

— Jest tam się czem pożywić — rzekł drugi. Zamek stary, a po tych starych zawsze najlepszy łup.. Piwnice pełne! skrzynie nie puste!

Bąk mniej zdawał się myśleć o łupie i nań rachować; o Domnę mu szło i o pomstę tylko.

Dumał.

— Coć Żurycha mówiła? zapytał dziada.

— Klęła się że otworzy — rzekł Kurp. Ona wie że ja ją zgubić mogę, bom tam był gdzie męża swego struła, patrzałem na to... i przysiądz na to mogę.

— Babom wierzyć trudno! zamruczał Bąk. Gdyby Żurycha nie zdradziła! — ja mówię, tylko się do furty podkraść.

— A jak się do nich podkraść? — wtrącił inny drab', który stał nie daleko pana. U nich dzień i noc strażę chodzą, sam stary wstaje razy kilka i wypatruje. Zdala by dojrzeli.

— Żurycha, kiedy taka mądra i sprawna, rzekł któryś z ławy, jakby to nie mogła ludziom zadać na sen... i popoić.

Dziad głową potrząsał.

— Ja na baby bardzo rachować nie myślę — przerwał Bąk — na co nam to? Jest nas dosyć aby na zamek się wdrapać, choćby furty nie otworzyła, wrota wyłamać, podpalić.. a i drabiny weźmiemy z sobą.

Jeżeli ich teraz nie dostanę, to nigdy!!

— Jak zechcecie to dostaniecie, rozśmiał się jeden ze śmielszych. Wani Domna, a nam lochy i skrzynie..

Bąk ręką obojętnie rzucił, nie o skrzynie mu chodzi!o..

Kroków kilka postąpił ku jedzącemu ciągle i popijającemu Kurpiowi.

— Gadaj — rzekł zadumany...

Dziad poczał nań patrzeć nie odpowiadając jeszcze.

— Ludzi wielu? — pytał Nikosz.

— Policzyć trudno — bąknął żebrak, — kto ich pozna? a snuje się to tam z kąta w kąt ciągle tylko widziałem że nie bardzo gęsto.

— Co tu lik znaczy? — przerwał z lawy leżący. Na jednego z tych co na zamku nas musi być kilku, bo zawsze lepiej się bronić niż napaść. Jeśli furty nie otworzą nam wszystkim trzeba iść do ostatniego, wrota kolkiem podparłszy... Kto żyw! Raz chcecie skończyć... to skończyć!!

Zamruczeli inni popierając to zdanie — Bąk ciągle stał zadumany.

— Z temi ludźmi ja nie mam szczęścia — poczał w pół do siebie, — tyle lat, tyle razy próbują, już bym innych ze świata zgładził, i zapomniał, — tych ani ukąsić... Urok jakiś!

— Urok! pewnie że urok—odezwał się dziad, — ale na to sposoby są...

Śmieli się niektórzy po cichu, spoglądając na żebraka, który dumnie usta zciał, poczuwszy sztyderstwo...

— W tém urok, — odezwał się leżący na ławie, — że o babę idzie... Zachciało się koniecznie tej, gdy na świecie ich tyle jest.

Splunął, Bąk się namarszczył.

— Sprawa nie o babę — zawołał głosem po-

dniesionym,—ale za krew moją, ja zemsty i krwi potrzebuję... Najlepsza pomsta będzie, gdy im ją odbiorę...

Cicho odezwał się jeden z towarzyszków.

— To i dzieci cudze przyjdzie brać!—Uśmiechnął się.

Nikosz czy nie słyszał, czy udał że nie słyszy, nie nie rzekł na to. Gromada jego po cichu mruczała; spoglądali na swego pana i wodza uśmiechając się skrycie, i pokazując palcami. Kurp dojadł i dopijał.

Dwóch ludzi wyprawił Bąk jeszcze po wioskach do Majkowiec, Wronikowa i Lasek, aby tam przez swoich (bo wszędzie ich mieli)—gdyby w Surdędzie na gwałt uderzono czy zapalono wiechy, — nie bardzo kto na pomoc przybywał.

Nazajutrz, w noc bezksiężycową ciemną, najście na zamek było postanowione. Dwór Nikosza cieszył się z tego. Ludzie byli do bojek i napadów nawykli, smakowali w nich, a teraz dawno już nie kosztowali. Przykrzyła się praca koło domu jednostajna... Kurp pozostał na Wilczej górze, aby się przypatrzeć wszystkiemu.

Następnego dnia wszyscy się do wieczora wylegali, nie wiele mając do czynienia, bo wszystko co potrzeba pogotowiu stało.

Nikosz tylko niespokojny biegał po dworze, po wałach, wyglądał ku Surdędzie, gadał sam do

siebie; zaglądał do czeladzi i na chwilę nie spo-  
czył.

Nad wieczór gorączka go zaczęła opanowy-  
wać coraz większa, uzbroił się zawczasu, miecz  
wyostrzył, zbroiczkę przypiął, i tak ciemności  
czekał niecierpliwie, jak drudzy dnia wyczekują.  
Na dany przez niego znak, ludzie zebrani do  
gromady, podzieliwszy się na dwie kupy, z któ-  
rych jedna do wrot głównych miała przypuścić  
szturm, druga u furty czekać na obietnicę Zury-  
chy, ruszyli dróżyną ku Surdędze, z przykaza-  
niem milczenia i nie szczekania bronią.

Choć mu pilno było bardzo Nikosz zatrzymał  
ich—dopóki światło na zamku widać było...

Jednego ze swoich z częścią ludzi na gości-  
niec wysławszy aby około wrot wielkich gwałt  
uczynili, toporami je rąbiąc i usiłując ognia po-  
dłożyć, — sam Nikosz poszedł z resztą oddziału  
do furty, spodziewając się że mu ją otworzą.

Udało się wśród nocy przymknąć tak pod  
wrota zręcznym napastnikom, iż ich straż nie  
postrzegła i nie posłyszała aż toporami poczęli  
łamać bramę... i ognie rozpalać...

Jak piorun to spadło na małą załogę Surdegi,  
która się cała ku wrotom zbiegać zaczęła krzy-  
cząc i nawołując...

Nim się tam ludzie namyślili co czynić i Da-  
libór posłyszawszy wrzask i łomot, koźuch wdzia-  
wszy wybiegł; już napastnicy wrota potrzaskali

od dołu, ale kute były sztabami żelaznemi, więc się trzymały, a za niemi drugie stały, o których nie wiedzieli.

W zamku zawrzało....

Domna wstała przerażona od kolebki dziecka, załamawszy ręce; przytomność opuściła ją na chwilę. Sądziła że zbóje się już na zamek wdarli. Lecz natychmiast prawie odzyskała przytomność, dziecko oddała niańce, a sama pochwyciwszy mieczyk za starym ojcem pogoniła.

Okolo wrót już się bronić zaczęto i zrzucać kamienie i koła zębate na oblegających..

Dalibór rozkazywał, z zimną krwią człowieka, który wiele już przeżył i nie łatwo się daje ustraszyć.

W czeladnej izbie ogień był jeszcze, tu siedziała Żurycha, blada i drżąca... Domna wpadłszy do niej, nakazała wodę nastawiać i garnki ze smołą ludziom nosić na wyżki.

Przelekła baba — sama niewiedząc co czyni była posłuszną i z niezmierną gorliwością poczęła dziewczkom rozkazywać...

Czeładź cała poszła na posługi załogi nielicznej, kto z czem mógł i miał.

Od wielkich wrót udało się na chwilę napaść odegnąć, ale wnet ludzie Nikosza drabiny nieco dalej do częstokolów przystawiać zaczęli, patrząc gdzie obrońców nie widać było...

Tymczasem Bąk u furty stał i czekał, nie

chcąc z tej strony nie rozpoczynać, a rachując na zdradę.

Żnrycha zaś na oku trzymana, ze strachu by się nie wydało co zamierzała, służyła i kręciła się ani mogąc ni chcąc do furty dostać...

Nikosz czekając tu dosyć długo, słuchając wrzawy, która go dochodziła, a nie wiedząc co się działo z drugiej strony, kilka razy na znak napróżno uderzywszy do furty — klnąc poleciał po wałach do koła do swoich, aby się przekonać naocznie jak się im wiodło.

Zaczynał wiarę tracić w obiecaną zdradę baby...

Zamkowi na znak niebezpieczeństwa mieli zawsze gotowe wiechy do zapalenia, któremi do wiosek znać dawano, gdy pomocy od ludzi potrzeba było. Paliły się już te ognie, a chłopcy bili w deski dragami na gwałt...

Gdy Nikosz dopadł do wielkich wrót, kilku swoich znalazł płonącą smołą pooblewanych i rannych od kamieni. Strzały z za ostrokołów świstały...

Pierwsze wrota były na pół zrąbane, ale za niemi drugie takie widać było — przez mały wyłom nikt się nie śmiał cisnąć, bo pomiędzy dwojgiem bram najniebezpieczniej stać było...

Krzyknął na swoich Nikosz, aby ich zagrzać i widząc że sam tu nie wiele zrobi, nazad do furty zawrócił, gdzie ludzi część zostawił.

Z tamtej strony cicho było... a że obiecana furta się nie otwierała, Bąk zniecierpliwiony drabiny na ostrokoł zarzucić kazał, i sam na pierwszą drapać się począł.

Właśnie, gdy już głową sięgał nad parkan, tknięty jakimś niepokojem, aby się do koła obejrzeć, stary Dalibór nadbiegł tu z dwoma łucznikami, którzy, dostrzegłszy w ciemności człeka, strzały puścili tak szczęśliwie, że jedna z nich przez otwór w szyszaku do twarzy Nikoszowi się dostała.

Wyrwał ją zaraz, ale z drabiną się zachwiał — i padł.

Żurycha, która ze strachu Kurpiowi może co obiecywała, teraz z drugiego, większego jeszcze nie śmiała nie poczynić i służyła zamkowym. Do furty iść ani myślała...

Nikosz ranny, na co mało zważał, już nie rachując na zdradę, ludzi wszystkich zagarnawszy, pobiegł do wielkich wrot szturmować.

Bronili ich, jak mogli, Dalibór i jego czeladź, ciskając, co pod ręką było, strzelając, sypiąc i lejąc, lecz pierwsze wrota już były złamane, drugie podpalano, a wszyscy Nikoszowi ludzie, gdy tej strony na ostrokoły się drapać zaczęli, załoga im starczyć nie mogła, bo niewiele jej było.

Cudem chyba zameczek się mógł obronić, a ludzie ze wsi na odsiecz oczekiwani nie przybywali, nawet z Majkowiec...



Dalibór biegł rzucając swoją gromadkę to tu to ówdzie, gdzie najpilniej się było bronić...

Wrota choć wodą lano, paliły się, bo coraz więcej suchego chrustu pod nie podkładano.

Stary w końcu postrzegł że, jeśli odsiecz nie przybędzie, napastnicy się włamią do wnętrza.

Widziała to i Domna... Nie było innego ratunku, jak się im zdawało, tylko tylną furką po nocy wymknąć się z dziećmi, spuścić z wału i do lasu uchodzić, mienie i zamek oddając zbojom...

Domna choć blada i wylękła, poszła po dzieci. Starsze z nich miał wziąć Dalibór, młodsze ona — noc była ciemna, z tamtej strony nie widać było napastników, furta się zdawała jedynem zbawieniem.

Gdy już Domna płaszcz brała i dziecię z kołębki miała podnieść, Żurycha, która posłyszała ją rozmawiającą z Daliborem, z krzykiem do nóg jej padła.

— Tamtędy nie można! nie idźcie! — poczęła krzyczeć — nie idźcie. Na Boga... tam ludzie są...

I ten więc ratunek ostatni stał się nie możliwy. A tu do wrót coraz się gwałtowniej dobijano, i po drabinach leżli ludzie, a co którego strącono, drugi się ukazywał z innej strony, a za nim trzeci. Nie wiedzieć gdzie się było obrócić.

Z wiosek ludzie, czy znaków nie widzieli, czy iść się obawiali, nie przybywali.

Trzeba się więc było na śmierć, lub gorszą od niej niewolę gotować, bo i ukryć się gdzie nie mieli.

Nikosz powtórnie ranny, gdy się tu na drabinę wdzierać próbował, latał jak wściekły, własnych ludzi popychając i tłukąc — gdyż się obawiał, aby nareście z sąsiednich wsi gromady nie nadciągnęły.

Do płonących już drugich wrót drągi mocne przystawiwszy oblegający, zaczęli je napierać silnie, bijąc w nie i usiłując wyłamać. Jeszcze chwilka, a i one paść miały, gdy na gościńcu lecące pędem usłyszano konie.

Kilkunastu jezdnych nadbiegało. Nikosz sądząc że chłopstwo przybywało z wiosek, obrócił się przeciwko nim z częścią swoich ludzi.

Lecz zbladł i zatrząsł się w pierwszym, który już z mieczem nań godził, poznając uzbrojonych ziemian... Zdało mu się, a raczej przeczuł w tym przeciwniku, którego żelazo dwa razy hełm jego ugodziło — Florjana Szarego.

On to w istocie był przybywający z pod Krakowa, którego opatrność sprowadziła właśnie na tę godzinę.

Nikosza powaliwszy, bo ten się zachwiał i na kolana przypadł — Florjan i jego czeladź siadła na kark oblegającym, którzy pochwyceni niespodzianie stracili wnet mężstwo i zbiegać zaczęli... Przy blasku ognia, który pod wrota był podło-

żony, Dalibor postrzegł odsiecz przybywającą — i już był pewien ocalenia. Czeladź się rzuciła z resztkami pocisków na, tych którzy jeszcze u parkanów stali. Najeźdźcy pierzchać zaczęli.

Nikosz porwał się zaraz na nogi, ale już widział, że nie równą była walka, i wnet za załomem ostrokołu zniknął, zostawując swoich, aby się ratowali jak mogli.

Trupów kilku położyli Florjanowi, dwu czy trzech rannych związano, Dalibór palące się wrota kazał odeprzeć i załoga wybiegła panu młodemu pomagać.

Oczyszczono zaraz wjazd... i cała ta straszna burza pierzchnęła... kryjąc się gdzieś w nocy ciemnościach.

Gdy Szary z konia zsiadłszy przez żuźle płonące wchodził na zamek, ujrzał naprzeciw siebie stojącą Domnę z młodszym dzieckiem na ręku, i mieczykiem u pasa. Błada była jak — anioł śmierci, uśmiechnęła się temu cudowi, który ją dłonią niespodziewaną męża ocalił, ręką jedną objęła szyję jego i — padła...

Kobiety nadbiegające wzięły ją na ręce i poniosły do domu. Florjan szedł za nią. Starego ojca pocałował w rękę milczący, starsze dziecko podniósł i zabrał z sobą.

Obawiać się już nie było czego, lecz szkody wyrządzone musieli ludzie natychmiast naprawiać,

bo od zbója nigdy bezpieczeństwa nie mieli, a Bąk choć ranny, uszedł na swą górkę.

Od powiązanych jeńców, których do lochów skrępowawszy rzucono, dowiedzieli się obleżeni wszystkiego, bo ci życie swe wypraszając, pana nie szczędzili, przeklinali go i prawili jak się długo do tej napaści przysposabiał.

Jeden z nich zagrożony wyśpiewał nawet o Kurpiu i obietnicy Żurychy, — którą zaraz ująć chciano, lecz wśród tego zamętu, baba, domyślając się, co ją czekać może, znikła...

Smutny i radośny razem był ten przyjazd Szarego do domu. Przyprowadziła go opatrność na samą niebezpieczeństwa godzinę.

Gdy Domna po omdleniu oczy otworzyła i ujrzała go przed sobą, podniosła się tuląc do swojego obrońcy...

Zdawał się jęć cudownie zesłanym z nieba...

Florjan na przemiany ścisnął ją i cisnące się do siebie dzieci, które, jak dzieci, ze łzów przeszły wnet do radości wielkiej, strachu chwilowego zapomniawszy.

Wszedł i stary Dalibór zasępiony, zmęczony, ledwie się mogąc utrzymać na nogach...

Nie mówili do siebie — patrzali tylko i Bogu dziękowali.

Florjan posepny myślał już jak potrafi zabezpieczyć pokój rodzinie, gdy sam za dni kilka na powrót wyruszyć będzie zmuszony.

Napaść dnia tego najlepiej dowodziła, jak zuchwiałym był ten sąsiad a wróg, który czyhał na chwilę, aby się mógł pomścić...

Załoga była za mała... Starzec jeden nie mógł wydolać obronie.

Znał już Szary swojego przeciwnika, że z życiem uszedłszy — kajać się nie będzie, ustraszyć nie da i tém gorętszą zemstą zapali. Rachować na to, że był odpędzony sromotnie i ranny, nie mógł Florjan...

Został by był doma dla obrony, ale przyrzekł się wojewodzie; część swoich ludzi w obozie zostawił, powracać więc musiał i to rychło...

Teraz dopiero, gdy już napastników nie było, ludzie z wiosek nadciągać zaczęli i wrzawa powstała u wrót, bo włodarz i starszyzna winili ich o umyślne opóźnienie. Składali się osadnicy tém, że znaków ognistych nie byli pewni, że noc ciemna i drogi złe pospieszyć nie dozwoliły.

Dla postrachu musiano sołtysów pobrać do lochu... Z gromad wybrano parobków do pomnożenia załogi, i Dalibór sam wyszedł, aby ład jakiś uczynić.

Na gwałt potrzeba było wrota i ostrokoły naprawiać, więc ludzi z siekierami wzięto zaraz z gromady, belki i kłody ściagać i ciosać zaczęto.

Tymczasem Florjan do szwagra Leliwy posłańca do Lelowa wyprawił, aby na radę i posiłek przybywał...

Wszedł ranek po tej nocy strasznej mglisty i pochmurny, a tu na chwilę spocząć nie mógł nikt. Oprawiać wrota i opatrzyć zamek było pierwszą potrzebą, którą Szary przed wyjazdem musiał mieć załatwioną.

Gromady też winę swą czując, starały się ją podwojoną gorliwością zmazać...

Z kupy napastników straciwszy w zabitych, rannych i ujętych do dziesiątka ludzi, Nikosz poraniony, potłuczony nocą jeszcze doszedł do swej górk i obawiając się odwetu, wrota pozapierał, ludziom nakazawszy stać u wałów...

Wściekłości jego padło ofiarą, co w domu na progu mu się nastreczyło, bił własnych i mordował, potem rzucił się krwią brocząc i nie myśląc o ranach, jęcząc i przeklinając na łożu...

Kurp, który we wrotach stał, gdy ludzie uciekający nadbiegli, wysunął się niepostrzeżony i schował, obawiając zemsty...

Zbiegłą Żurychę, gdy się nad ranem zjawiała u wrót, Nikosz wypadłszy z izby kazał obwieścić... Ludzie jej nie śmiejąc tknąć, bo się czarownicy obawiali, dali zbiedz...

Cały dzień następny nikt do Bąka przystąpić i słowa od niego dopytać nie mógł, rozganiał i bił ludzi, pieniąc z bezsilnej złości... Wieczorem zgłodniały pić zaczął i legł kamiennym snem ujęty...

Gdy się zbudził drugiego dnia innym już był— jakby się wytrzeźwił. Poszedł liczyć swych ludzi, o tych, których nie stało pytał, na wał wlaźszy, popatrzał ku Surdędze, zamruczał coś sam do siebie, rany zaschłe poobmywał, odział się, uzbroił, konia kazał dać i u wrót postawiwszy straż odjechał precz, nie mówiąc ani dokąd, ani na jak długo.

Z Lelowa szwagier tegoż dnia do Florjana w kilka nadbiegł koni, wioząc z sobą dwu powinowatych z sąsiedztwa, których u niego poselstwo zastało.

Wyszedł naprzeciw nim Florjan, z czołem nasępioném, zamiast powitania ukazując im wrota, węgle u nich i trzaski z wyłamanej pierwszej bramy.

— Gdyby mnie cud jakiś tu nie sprowadził— rzekł, — jużbym żony, ni dzieci, ni ojca, ni mienia nie oglądał, tylko kupę popiołu. Dobry sąsiad!!

Bracie miły, — zwrócił się do Leliwy, — wy o siostrze i o jej bezpieczeństwie radźcie... Za dzień lub dwa ja do króla muszę, a Bóg jeden wie kiedy powrócę i czy żyw przybędę, bo się wojna sroga gotuje...

Jakoście mi bratem — pomóżcie i radźcie. Z tym człowiekiem, dopóki on żyw, końca nie będzie...

Leliwa spoglądał w koło nie odpowiadając,

gdy jeden z ziemian, którego Pokrzywką zwali, odezwał się.

— Co tu radzić, jak na wilka trzeba polować na tego czleka i ubić go... jedna rada.

Drugi potwierdził to.

— Tak, — rzekł Leliwa, gdyby go ująć można, nie żałowałbym dębu, a obwiesił bym zbója.. ale nie łatwa z nim sprawa... Siadł tu nam wrzodem między nami... chyba wszyscy się nań zbierzemy i pójdziem oblawać.

— Czyńcie z nim i zemną, — odezwał się Florjan, — co wola i łaska, ja to jedno wiem, że na posługę królewską idę, a ojca, żonę i dzieci wam oddaję.

Spojrzeli po sobie i Pokrzywka rzekł.

— Póki co będzie — musimy my na Sądę-dze kolejną straż sprawić...

— Dobrze i tak — odparł Leliwa, — ja ludzi przyślę.

— Ja też — dodał trzeci...

— Godziło by się też — rzekł wchodząc w podwórze Pokrzywka, zajrzeć do niego na górkę i poprobować azali się lisa z jamy nie wykurzy...

— Lisa w jamie już nie ma — przerwał Da-libór, — ludzie nasi widzieli go pono uchodzącego. Ma on z dawna swoich druhów rabusiów jako sam, pewnie po nich lub do nich umknął.

— A nie widzi mi się — dodał Leliwa, —



aby rychło drugi raz na Surdegę się ważył — kiedy się wam go odprawić dobrze udało...

Nadszedł stary Dalibor.

— Gdyby nie opatrność, — rzekł ręce podnosząc do góry, nie obroniłbym się — choć czeladź dobrze się zwijała. Gromady nie nadciągnęły, a baba Żurycha namówiona podobno im furtę tylną obiecała otworzyć. Oskarżono ją o to a najmocniej świadczy winę, iż uciekła.

Przybyli stali zdumieni...

— Wojna! — zawołał Pokrzywka...

— Nie bał bym się jój — wtrócił Szary — a zmógł bym biesa złego, gdybym doma mógł siedzieć — ale mnie na inną wojnę wołają — i muszę...

Wyprosiłem się na dzień, dwa wojewodzie, jakby mnie co tknęło...

Z przybyciem sąsiadów otucha wstąpiła w serca, Dalibór się czuł bezpiecznym. Florjan brata żony umawiał i gości swych, aby najdroższego skarbu jego strzegli.

Leliwa siostrę do siebie dla ubezpieczenia zabrać chciał, ale sama Domna oparła się temu starego ojca nie chcąc rzucić, który swego gniazda opuścić i zdać na cudze ręce nie mógł.

— Tu głowę położę — mruczał, — ale przed tym zbójem uchodzić — nie doczekanie jego. Srom dla moich siwych włosów, a od sromu lepsza — śmierć.

Zakrzyczano go, że wszyscy z nim Surdegi bronić będą... Poszli tedy zaraz do koła opatrywać zameczek, ku czemu Pokrzywka się zdał i wielkie miał serce.

— Na wojnę nie zdążam, bo jedna ręka martwa mi wisi, to choć tu posłużę.

Tak dzień zszedł, a Florjan na ojca zdając gości, więcej żony i dzieci pilnował, po których miał tęsknić długo...

Domna już odzyskała całe swe męztwo, uśmiech i wielkie serce.

— Jedź spokojny — mówiła — my żołnierskie żony nawykłe być do tego powinnyśmy, że się z królem, ba i z wrogiem mężami dzielić musimy. Toć dola nasza... a jam wiedziała kto mnie brał i komum przysięgała...

Jedź spokojny — powtarzała — Pan Bóg nas uratował cndem, nie odmówi i dalej opieki swej. Ludzi mamy mężnych, a ja i ojciec nie zaśpiemy. Co dopiero gdy przyjaciół w pomoc dostaniesz, a za opiekuna brata!

— Tak ty mi serca dodajesz,—rzekł Flojan— bo co powinność rycerska to powinność — ano— mnie tak was tu zostawić z tym złoczyńcą pod bokiem?

Domna uderzyła go po ramieniu.

— Wszystko złe przeszło — rzekła — ja to czuję w duszy mej. Dawniej obawiałam się tego człowieka, jawił mi się we snach często, żem

z krzykiem do kolebki przypadała broniąc Staszka... Dziś coś mi powiada, iż nie potrafi nie przeciwko nam...

Jedź, miły mój, a powracaj z łupem, i co lepsza, z imieniem dobrem, zastaniesz nas w progu nie jak teraz zapłakanych i strwożonych, ale witających zwycięzcę i szczęśliwych.

— Amen, — dodał Szary — i oby się to sprawdziło.

— Bóg łaskaw! — szepnęła kobieta...

Jeszcze dzień jeden pozostał Szary w domu, a miał tę pociechę, że mu cieśle do wieczora wrota nowe powstawiali, oczyścili wjazd i ostrokoły poumocywali.

Trzeba się było rozstać z Domną. Mężna niewiasta wyszła z dziecięciem na rękę na próg i przeżegnała go krzyżem świętym. Szary ciągnął do króla — wołała powinność.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



3-1257 90/100 17 48 ✓

Biblioteka Raczyńskich

JIK 988



JIK0988